

DROGA

Kolekcja
Emilia Kornasia

N4

MIESIĘCZNIK

D R O G A

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWIE ŻYCIA POLSKIEGO

MAJ 1936

ROK XV

Nr. 4

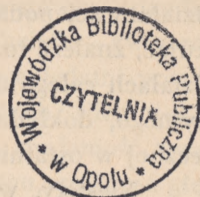
T R E Ś Ć

Gustaw Simon: Polityka społeczna Państwa Polskiego: 1918 — 1935	245
Florjan Znaniecki: Uczni polscy a życie polskie (II)	255
Jan Zbinden: Uduchowienie techniki	272
Paul Claudel: Ballada. Przełożył Roman Kołontecki	279
Jerzy Andrzejewski: Kłamstwa	281
Kazimierz Sowiński: Wiersze: Pod granią. W środku widnokregu	294
Henryk Kleist: Książę Homburgu (I). Przełożył Jan Sztau- dynger	296
Władysław Maliniak: Żywotność i aktualność romantyzmu politycznego (III)	318
SZTUKA. Sztuka lotewska w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych (K. Winkler)	331
KSIĄŻKI. Dwie monografie o Hitlerze (B. H.). — Świato- pelk Karpiński: Mieszczański poemat (Stefan Napier- ski). — Leopold Lewin: Z poezji niemieckiej (Artur Rzeczyca)	333

C E N A N U M E R U Z Ł. 2.-

Kolekcja
Emila Kornasia

DROGA Nr. 4



GUSTAW SIMON

POLITYKA SPOŁECZNA PAŃSTWA POLSKIEGO: 1918-1935

Pod tytułem, wymienionym w nagłówku uwag niniejszych, ukazała się niedawno wydana staraniem i nakładem Ministerstwa Opieki Społecznej obszerna publikacja ¹⁾, opracowana przez kilkunastu urzędników tego Ministerstwa pod redakcją znanej i zasłużonej na wielu polach pracy społecznej Dr. M. Bornstein-Łychowskiej. Dzieło to zawiera niezwykle interesujący, niejako fotograficzny skrót poczynąń społeczno - politycznych, dokonanych w Polsce z ramienia rządu w dziedzinach, podlegających obecnie bezpośredniemu kierownictwu lub nadzorowi Ministerstwa Opieki Społecznej, i w tym charakterze odda wielkie usługi każdemu, kto zechce poznać i bliżej zbadać najgłówniejsze zręby polskiej polityki społecznej od chwili wskrzeszenia Państwa Polskiego aż do czasów ostatnich. Można by wprowadzić wytknąć nierównomierność, zarówno pod względem gatunkowym, jak i ilościowym poszczególnych rozdziałów tej publikacji, nierównomierność posuniętą dalej, aniżeli się to zwykle dzieje w podobnych pracach zbiorowych, pozwalającą zatem przypuszczać, iż pozostawiono każdemu z autorów nieco nadmierną swobodę w wyborze metody i zakresu opracowania danego tematu; można by wyrazić wątpliwość, czy okres, doprowadzony do momentu o szczególnie niewyraźnym w Polsce obliczu polityki społecznej, nadawał się do ujęcia w całość zamkniętą, mogącą nasunąć logiczne przypuszczenie, jakoby rok 1935 stanowił wyraźny kres fazy poprzedniej; można-

¹⁾ Polityka społeczna Państwa Polskiego: 1918 — 1935. Warszawa, 1935; str. 457.

by dać też wyraz pewnemu zdziwieniu, iż przedmowy aż dwu odpowiedzialnych kierowników Ministerstwa są ponad wszelką miarę lakoniczne, nie kuszą się żadnem słowem o nakreślenie chociażby najogólniejszych cech działalności podległych im resortów; możnaby wreszcie, skrzętnie poszukując, znaleźć tu i ówdzie drobną niedokładność lub lukę w niektórych rozdziałach całego dzieła. Jednak nie zmniejszy to jego wartości jako oryjacyjnego, dokładnego opracowania sprawozdawczego polskiej polityki społecznej w ostatnich latach siedemnastu.

Niestety, wszystkie te zalety nie mogą osłabić jednego zasadniczego zarzutu, jaki dziełu temu postawić można i trzeba. Zarzutem tym jest stwierdzenie, iż przedstawia ono niemal wyłącznie usystematyzowany zbiór ważnych i ciekawych informacji o kolejnych poczynaniach w różnych dziedzinach polskiej polityki społecznej, lecz nie daje pogłębionego myślowo, ujętego nietylko analitycznie, lecz również syntetycznie i krytycznie, obrazu tego niezmiernie doniosłego działu polskiego życia, nie odsłania wyraźnie istnienia czy braku myśli wytycznych, którymi się w jego zakresie kierowano, ani zasadniczych problemów społecznych, wobec których Polska stała i stoi, nie usiłuje ukazać charakterystycznych, odrębnych cech polskiej polityki społecznej w porównaniu czy w zestawieniu z polityką społeczną innych państw, natomiast pozostawia wrażenie, iż polityka ta przez cały okres swego dotychczasowego istnienia była zawsze i na każdym polu niemal wyłącznie wypełnieniem doraźnych konieczności życiowych, bez myśli dalszej, bez planu i bez związku z ogólnym kierunkiem polityki państwowej, z aspiracjami i dążeniami społeczeństwa, oraz z prądami, przenikającymi po wojnie świat cywilizowany.

Stąd powstała niewspółmierność tytułu dzieła z tem, czego się jego czytelnik słusznie spodziewać może. Właśnie w dobie obecnej, kiedy *nie tylko* w Polsce, lecz *zwłaszcza* w Polsce, niemal całokształt demokratycznej polityki społecznej piętnowany jest przez liczne a wpływowe lub wpływom ulegające koła, jako jedna wielka omyłka, a nawet jako jedna wielka szkoda publiczna, którą należy usunąć, lub conajmniej sprowadzić do rozmiarów szczątkowych, kiedy zrozumienie istotnych cech i założeń tej polityki jest niezmiernie nikłe nawet wśród tych, którym ona służy, — kiedy wreszcie wśród sfer w tej dziedzinie decydujących znać wahania i wątpliwości, — w podobnym momencie ograniczenie publikacji, z wielkim nakładem pracy podjętej i zawierającej tak wiele cennych informacji, do skrótu sprawozdawczego, pozbawionego intensywniejszych, cieplejszych barw, jest szczególnie dotkliwe. Książka ta mogła stać się poważnym i doniosłym czynem, torującym dalsze drogi polskiej polityki społecznej, a stała się tylko

bardzo wartościowym przyczynkiem dla przyszłego badacza, oraz podręcznikiem sprawozdaniem za pewien dowolnieabrany okres.

Formułując powyższy zarzut, zdaję sobie dokładnie sprawę z trudności, na jakie natrafiliby ci, którzyby zarzutu tego uniknąć chcieli — zwłaszcza gdy mowa o personelu Ministerstwa, związanym często względami urzędowymi, a ponadto zaabsorbowanym nawałem zajęć bieżących. Niemniej jednak wysoki poziom ich wykształcenia, oraz długoletnia znajomość spraw omawianych, daje im łatwiej, niż komukolwiek postronnemu, możliwość głębszej oceny osiągniętych wyników. A wszak dopiero takie ujęcie całości polskiej polityki społecznej zasługiwałoby na wspaniały tytuł, jaki Ministerstwo Opieki Społecznej swej publikacji nadało.

Miejmy nadzieję, że znajdzie się wkrótce autor lub autorzy, którzy w powyższy sposób *Politykę społeczną Państwa Polskiego* ujmą i opracują; narazie niech nam wolno będzie — opierając się na pracy, której uwagi niniejsze poświęcamy — naszkicować niektóre wnioski ogólne, mogące posłużyć do charakterystyki polskiej polityki społecznej w ubiegłym siedemnastolecu.

Zauważyć więc przedewszystkiem należy, iż samo pojęcie polityki społecznej nie zdołało dotychczas w Polsce przybrać ściśle określonej treści i zajmując wynikającego stąd miejsca w organizacji państwa. Nie chodzi nam tutaj o chwiejną definicję naukową, nigdzie dotychczas i przez nikogo nie ustaloną ostatecznie, lecz o praktyczną stronę zagadnienia. Za polską politykę społeczną uznaje się (a czyni to również dzieło, na którego tle snujemy niniejsze rozważania) wszystko, co wchodzi w zakres kompetencji resortu administracji państwowej, noszącego początkowo nazwę Ministerstwa Pracy, Zdrowia Publicznego i Opieki Społecznej, następnie przemianowanego na Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej, a ostatnio, z przyczyn zgoła niejasnych, nazwanego już lakonicznie Ministerstwem Opieki Społecznej. Te zmiany nazwy niezawsze szły w parze z równoczesnymi modyfikacjami zakresu działania tego Ministerstwa, ani też nie są oznaką ustalenia wyraźnej koncepcji, czem jest i czem chce być polska „polityka społeczna“. Ochronę zdrowia publicznego przerzucano trzykrotnie: raz poruczono ją specjalnemu Ministerstwu Zdrowia, potem, po skasowaniu tego odrębnego resortu, włączono ją do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a przed kilkoma laty poddano ją znowu w znacznej części władzy obecnego Ministerstwa Opieki Społecznej. Gdyby się tak nie stało, praca o której mówimy byłaby cały ten dział pominęła — tak jak pominięto w niej reformę rolną, szkolnictwo zawodowe i t. p. działy, wchodzące niewątpliwie w ramy szeroko ujętego pojęcia

państwowej polityki społecznej, pominięto tylko dlatego, że się niem nie zajmuje w chwili obecnej Ministerstwo Opieki Społecznej.

Dalszym dowodem chwiejności, a może przypadkowości przy określaniu zadań polityki społecznej w Polsce jest terazniejsza nazwa Ministerstwa, jej rzekomo specjalnie poświęconego. Podlega mu inspekcja pracy, związki zawodowe, umowy zbiorowe, polityka płac, ubezpieczenia społeczne, i t. d. Czyż są to dziedziny, które można objąć jednym pojęciem i jedną nazwą „opieki społecznej“? Zdaniem szeregu wybitnych teoretyków, np. prof. Ludwika Heydego²⁾, sprawy opiekuńcze (*Wohlfahrtspflege*) wogóle wykraczają poza obręb polityki społecznej w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, stanowiąc jedynie w pewnym zakresie styczną z nią dziedzinę, a w żadnym razie nie jej istotną treść. Trudno zaiste zrozumieć, czem się powodowano wykreślając z nazwy Ministerstwa wyraz „praca“ i zastępując go wyrazami o bezspornie innem, ściślej z filantropją, opieką nad dziećmi, starcami, ubogimi i podobnemi zjawiskami spowinowacaniem znaczeniu. Niełatwo też uzasadnić względami rozumowemi podział agend migracyjnych, pierwotnie stanowiących specjalny Urząd, podległy w całości Ministerstwu Pracy i Opieki Społecznej i powołany do prowadzenia (oczywiście, w porozumieniu z Ministerstwem Spraw Zagranicznych) jednolitej polskiej polityki migracyjnej, pomiędzy dwa resorty, z których żaden nad całością zagadnienia nie może panować. W chwili obecnej nie posiada to szczególnego znaczenia w zakresie emigracji aktywnej, ta bowiem jest — jak wiadomo — prawie całkowicie zatamowana; jednak odbija się to na sprawie tak ważnej, jak np. reemigracja z Francji, a w niedalekiej może przyszłości, gdy emigracja z Polski stanie się znowu aktualna, brak jednolitego kierownictwa odbić się będzie musiał ujemnie.

Najdobitniejszym niewątpliwie wyrazem chwiejności i zmienności polskiej polityki społecznej jest dziedzina ubezpieczeń społecznych. Jedynym stałym jej czynnikiem w Polsce, zresztą szczególnego uznania godnym, gdyż związanym z olbrzymiemi trudnościami prawnymi, organizacyjnymi i finansowemi, jest dążenie do wyrównania systemów i poziomów ubezpieczeniowych, obowiązujących poprzednio w poszczególnych dzielnicach zaborczych. Dzieło to nie jest wprawdzie jeszcze zakończone, lecz posunięto je już znacznie naprzód. Nie idzie z niem jednak w parze wyraźny, stały i konsekwentny stosunek względem zasadniczych podstaw polityki ubezpieczeniowej państwa. W początkowym okresie odznaczała się ona niezwykle

²⁾ *Abriß der Sozialpolitik*, wyd. 7, str. 7: „Opieka społeczna i filantropja tem się różnią od polityki społecznej, że celem ich nie jest normowanie stosunku wzajemnego klas (i warstw), ani też ich stosunku do państwa“.

entuzjazmem i optymizmem, uważając jaknajszybszy rozwój akcji ubezpieczeniowej za bezsporną konieczność państwową, traktując wszelką, nawet najlżejszą jej krytykę za objaw niemal antypaństwowy; później, i to dość nagle, zatamowano jej dalszy rozrost, poświęcając główne wysiłki uporządkowaniu istniejącego stanu rzeczy i wypełnieniu jego najważniejszych luk; wreszcie, znowu nagle, podjęto bardzo energiczną, gwałtowną, nieraz niemal z dnia na dzień improwizowaną działalność t. zw. reorganizacyjną, która jednak stała się, prawie w całej swej rozciągłości, kurczeniem stanu poprzednio osiągniętego, negacją wielu postulatów, poprzednio z równą stanowczością realizowanych.

Do tego rodzaju zjawisk należy w tym zakresie w pierwszym rzędzie całkowita zmiana stanowiska w stosunku do t. zw. samorządu instytucyj ubezpieczeniowych, oraz do podstaw ich organizacji. Od zupełnego oddania kierownictwa w ręce przedstawicieli bezpośrednio zainteresowanych czynników społecznych, t. j. ubezpieczonych i ich pracodawców, przetrzucono się do drugiej przeciwstawnej ostateczności: samorząd usunięto całkowicie, a władzę oddano w ręce komisarzy, mianowanych przez Ministerstwo; z urzędzenia, przewidzianego ustawowo jako krótkotrwały stan wyjątkowy, uczyniono normę stałą, trwającą od szeregu lat, a budzącą daleko idące wątpliwości pod wieloma względami. Nie mniej radykalny zwrot uczyniono w dziedzinie organizacji instytucyj ubezpieczeniowych, tak lokalnych jak ogólnych: naprzód rozbudowano niezwykle gęstą ich sieć, zwłaszcza w ubezpieczeniu chorobowym, utworzono szereg poszczególnych Zakładów, łącząc je w Związki, których istnienie uznawano za szczególnie cenną cechę organizacyjną polskiego systemu ubezpieczeń społecznych — w ostatnich zaś latach zlikwidowano w niezwykle pośpiesznym tempie cały ten kompleks instytucyj odrębnych i sfederowanych na rzecz krańcowej centralizacji i koncentracji, nie pozostawiając nawet ich organizacyjnej nadbudowy w formie zaledwie rok istniejącej Izby Ubezpieczeń Społecznych. Podobne zjawisko głębokiej zmiany poprzedniego stanu rzeczy stwierdzić można również w stosunku do zagadnienia nadzoru władzy państwowej nad instytucjami ubezpieczeniowymi i ich działalnością: uczyniono pełny zwrot od nadzoru tylko nad prawomocnością czynności tych instytucyj aż do całkowitego wglądu we wszystko, czem się one zajmują; objęto nawet faktyczne, chociaż nieformalne, kierownictwo różnemi dziedzinami ich działalności aż do personalnej obsady wszystkich stanowisk włącznie.

Wskazując na powyższe objawy zmienności i chwiejności, pomijamy oczywiście różne, nieraz daleko idące modyfikacje i przeobrażenia, które okazały się potrzebne w związku z położeniem gospodarczem Polski, z kry-

zysem i podobnymi zjawiskami; przystosowanie się państwowej polityki społecznej do tego rodzaju sytuacji jest nieuniknione i o ile jest utrzymane w ramach istotnej konieczności — w całej pełni usprawiedliwione. Badając jednak głębiej tę politykę w Polsce niepodległej, dochodzi się do wniosku, iż jej chwiejność w wielu wypadkach wynikała raczej z braku ustalonych założeń programowych rządu w dziedzinie społecznej, a niekiedy pokrywała względami na położenie gospodarczo - finansowe kraju posunięcia w odległym tylko lub jedynie pozornym związku z tem położeniem pozostające.

Konsekwentniejsza, aniżeli w powyżej wymienionych zakresach, była niewątpliwie działalność Ministerstwa Opieki Społecznej na polu ochrony pracy w ściślejszym znaczeniu tego wyrazu. Ustawy i zarządzenia w tej dziedzinie wykazują wprawdzie również dość niespodziewane i rzeczowo słabo uzasadnione odchylenia (np. ograniczenie urlopów, przedłużenie czasu pracy z 46 na 48 godzin tygodniowo i t. p.), lecz w ogólnej swej linii i tendencji są dowodem stałej akcji ochronnej i wiążą się ze sobą logicznie. Natomiast poważne zastrzeżenia wzbudzić musi znaczna rozbieżność pomiędzy przepisami prawnymi a ich wykonaniem. Obowiązują w Polsce w tej dziedzinie, jak zresztą w wielu innych, ustawy i rozporządzenia zasadniczo bardzo słuszne i uzasadnione, szwankuje jednak mocno ściśle ich przestrzeganie w życiu. Wprowadzając je na papierze, nie przemyślano i nie przygotowano w dostatecznym stopniu ich dalszego praktycznego urzeczywistnienia. Np. rozległe, aż nadto rozległe obowiązki inspekcji pracy nie mogą być w pełni wykonywane z powodu przeciążenia personelu i jego niewspółmierne niskich uposażeń; pośrednictwo pracy, statystyka zatrudnienia, ruchu zawodowego i t. p. szwankują, choć przepisy ustawowe są dobre. W zakresie opiekuńczym piękna i szeroka ustawa o opiece społecznej jest wyrazem najlepszej woli i chęci, lecz wciąż jeszcze w niektórych doniosłych swych częściach nie może być wcale lub bywa tylko ułamkowo stosowana — bądź z powodu braku środków finansowych, bądź z powodu niedorozwoju samorządu w Polsce, bądź wreszcie z powodu niedostatecznie przygotowanych sił wykonawczych. Tego rodzaju dysproporcje pomiędzy stanem prawnym a stanem faktycznym są jednym z największych, a może nawet największym niedomaganiem polskiej polityki społecznej.

Dalszą cechą charakterystyczną tej polityki, widoczną nietylko — jak już wspomnieliśmy — w dziedzinie ubezpieczeń społecznych, stało się niewątpliwie zaniedbanie tych jej zakresów, które dotyczą udziału sił społecznych (zwłaszcza warstw pracujących) przy opracowywaniu ustaw i rozporządzeń — z jednej strony i przy ich wykonywaniu — z drugiej. Zaniedbano prawie zupełnie sprawy takie, jak utworzenie Izb Pracy, zapowiadanych

już w Konstytucji z r. 1921, ujęcie prawodawcze zagadnienia przedstawicielstwa robotniczego i pracowniczego wobec pracodawców; zlikwidowano doszczętnie szereg Rad przy Ministerstwie, w których zasiadali również, zresztą zgóry przez władzę mianowani i tylko głosem doradczym obdarzeni, reprezentanci świata pracy; ustalenie norm i kompetencji związków zawodowych leży prawie w zupełności odłogi; niezmiernie ważna sprawa umów zbiorowych dopiero w czasach ostatnich doczekała się ujęcia w formę projektu ustawy — słowem, omija się te wprowadzić trudne, lecz w życiu współczesnego społeczeństwa konieczne i domagające się rozwiązania zagadnienia. Niesposób uchronić się od wrażenia, iż zaniedbanie całej tej wielkiej dziedziny było i jest wyrazem świadomej woli nierozstrzygnięcia problemów drażliwych, wymagających jasnego i niedwuznacznego sprecyzowania stanowiska rządu wobec sprzecznych interesów i tendencji społeczno-ekonomicznych. Na dnie tej taktyki tkwi, zdaje się, zwłaszcza w czasach ostatnich, brak wiary w dojrzałość polskich warstw pracujących do udziału w pracach ustawodawczych i w instytucjach polityce społecznej służących, brak wiary, którego skutki mogą się okazać bardzo dotkliwe nawet w bliskiej przyszłości.

Z uwag powyższych (a łatwo liczbę ich znacznie powiększyć) można by wysnuć wniosek pozornie logiczny, iż dzieło, na którego tle nasze rozważania snujemy, nie mogło się stać logicznie umotywowanem i związanem przedstawieniem systemu polskiej polityki społecznej, gdyż właśnie politykę tę cechowała i cechuje chwiejność i zmienność założeń i programu, a zatem brak systemu. Trudno więc było dać obraz i analizę systemu nieistniejącego. Wniosek powyższy nie byłby atoli słuszny. Przy całej swej chwiejności polska polityka społeczna opiera się jednak na pewnych czynnikach stałych i tylko w ich obrębie obracają się jej wahania. Ponadto odróżnić w niej można pewne fazy charakterystyczne, których uwypuklenie jest niezbędne dla poznania i oceny jej całokształtu.

Czynnikiem stałym, aczkolwiek w różnej skali realizowanym, jest naogół charakter demokratyczny polityki społecznej, prowadzonej przez Ministerstwo jej głównie poświęcone — demokratyczny z pewną dozą patryarchalnego protekcjonalizmu względem świata pracy. Charakter ten, o zmiennem natężeniu, stwierdzić można niezależnie od tego, w czyich rękach znajdowało się kierownictwo sprawami Ministerstwa; a kierownictwo to bywało bardzo rozmaitego zabarwienia — począwszy od stanowczego socjalizmu P. P. S., poprzez Narodową Partję Robotniczą, Demokrację Chrześcijańską, aż do różnych odcieni liberalizmu, a nawet oświeconego konserwatyzmu. Dalszą cechą jest, wbrew szeroko rozpowszechnionej opinii, obce

wszelkiej ideologii rewolucyjnej umiarkowanie polskiej polityki społecznej, jej nieraz nadmierna ostrożność w rozstrzyganiu problemów bardziej drażliwej natury. I tutaj, oczywiście, bywały okresy akcji żywszej, nie wykraçała ona jednakowoż nigdy poza ramy stopniowej ewolucji w jakiegokolwiek dziedzinie. Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że nie była ona nigdy, w żadnym momencie, demagogiczna, a raczej zawsze przeciwstawiała się demagogji, nawet wówczas gdy kierownikom Ministerstwa przychodziło w tym względzie walczyć z własnym ich obozem. Wreszcie — i to ze szczególnym naciskiem podkreślić należy — polska polityka społeczna od pierwszego dnia jej powstania aż do chwili obecnej była polityką *par excellence* państwową, uzależniającą każde swe poczynanie od względu na siłę ogólną państwa i jego potrzeby, jako całości zwartej, — polityką głęboko patriotyczną, obcą wszelkim ujemnym lub ryzykownym wpływom międzynarodowym, polityką niezależną, polską zarówno w swych zaletach jak i w swych wadach.

Za cechę ujemną, lecz również charakterystyczną, uważać natomiast musimy, prócz już zilustrowanej zmienności w wielu dziedzinach urzędowania społecznych, jej nadmierną zależność, a nawet uległość wobec nie zawsze dostatecznie uzasadnionych wymagań i hamulców, wysuwanych przez inne działy administracji państwa, a często również bezpośrednich i stanowczych przeciwników wszelkiej postępowej polityki społecznej. Autorytet Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, nawet w dziedzinach specjalnie jego kierownictwu oddanych, nie był nigdy, prócz momentów zupełnie wyjątkowych, dostatecznie silny dla przeciwstawienia swych postulatów i zamieżeń, choćby najsłuszniejszych, naciskowi innych resortów gospodarczych i finansowych państwa, które ze swej strony pozostawały często pod silną sugestją i wpływem organizacji przemysłowych, bankowych, agrarnych i t. p. Zaznaczony powyżej brak autorytetu organu polskiej polityki społecznej wobec ogólnego kierownictwa sprawami państwa nie zawsze był wynikiem osobistej kompromisowości tych, którzy stali na jej czele; był on i jest zjawiskiem, którego naczelną przyczyną stał się niezmienny fakt, iż żaden z rządów państwa polskiego od pierwszej chwili jego powstania nie uznał za konieczne opracować i wysunąć ściślejszy pomyślany i ustalony program polityki społecznej, jako jedno z naczelných swych zadań. Niekiedy operowano hasłami o szczególnej aktualności bieżącej, lecz programu polityki społecznej w istotnem znaczeniu tego wyrazu nie doczekała się dotychczas Polska od żadnego ze swych rządów. Jest rzeczą znamionną, iż w liczbie kilkudziesięciu premierów gabinetów polskich wskazać można zaledwie dwóch, którzy w poprzedniej swej działalności poświęcali się polityce społecznej, a i ci, stanawszy u steru władzy, nie nadali jej wyraźnego kształtu

i szczególnego nacisku. Zresztą—cóż mówić o szefach całego gabinetu ministrów, jeżeli wśród samych kierowników resortu polityki społecznej można naliczyć zaledwie kilku istotnych znawców tego przedmiotu; dla większości z nich teka pracy i opieki społecznej była etapem przypadkowym, nie związanym ani z ich uprzednim wykształceniem, ani z ich głębszymi zainteresowaniami, czego dowodem najlepszym jest fakt, iż zaraz po wyjściu z Ministerstwa tak specjalnie masom pracującym poświęconego przechodzili na stanowiska dyrektorów fabryk, prezesów spółek handlowych i t. p., lub na urzędy nic już z polityką społeczną wspólnego nie mające. Ten stan rzeczy znajdował, rzecz naturalna, swe odbicie w działalności Ministerstwa — i kiedy na jego czele stawali ludzie, których praca życiowa wiązała z zagadnieniami socjalnemi, polska polityka społeczna nabierała większej mocy i ciągłości; kiedy zaś ich brakło, wówczas słabło również tętno i inicjatywa tej polityki.

Naogół można powiedzieć, iż wielki niewątpliwie dorobek polskiej polityki społecznej był wywalczany z trudem, zwykle pod naciskiem konieczności życiowej, i że nawet w czasach gdy polityką tą kierowali zawodowi działacze społeczni, nie opierała się ona o program ogólnopolski, państwowy, określony planowo na dłuższą metę i przez cały rząd wyrażnie i świadomie zaaprobowany. Wypada też rozwiać, a w każdym razie sprowadzić do właściwych rozmiarów, szeroko rozpowszechnioną legendę o szczególnej jakoby wybujałości i rozpiętości polskiego ustawodawstwa socjalnego, o jego rzekomo przodowniczym stanowisku wśród ustawodawstw krajów cywilizowanych. Wyjąwszy zaprowadzenie przymusowych płatnych urlopów robotniczych i pracowniczych, które istotnie na tak szeroką skalę zapoczątkowała Polska i dopiero za jej przykładem idą stopniowo inne państwa — trudno jest wskazać jakąkolwiek dziedzinę, w której ustawodawstwo nasze wybiegałoby poza normy przyjęte w większości krajów europejskich i zamorskich. Nie należy przytem zapominać, że zarobki, warunki pracy, poziom kultury i t. d. polskich klas pracujących były i są szczególnie niskie, że zatem na władze i ustawy państwowe (o samorządowych u nas trudno mówić) spadają większe niż gdzieindziej obowiązki społeczne i konieczność normowania wielu dziedzin życia publicznego, które w krajach bogatszych i kulturalniejszych regulowane są oddawna przez samo społeczeństwo i jego wewnętrzne organizacje.

Mamy więc prawo patrzeć z pewną dumą na polską politykę społeczną nie dlatego, by stanowiła ona jakiś szczególnie wyniosły szczyt w porównaniu z jej zakresem i poziomem zagranicą, lecz jedynie z tego powodu, że w krótkim stosunkowo okresie czasu udało się z chaotycznej mozaiki spo-

leczno-politycznej państw zaborczych utworzyć całość prawie jednolitą, w szeregu dziedzin wypełnić wielkie luki uprzednio istniejące i podnieść całokształt polskiej polityki społecznej do poziomu, godnego współczesnego kulturalnego państwa i narodu.

Podstawowe osiągnięcia polskiej polityki społecznej: 8-godzinny dzień pracy, inspekcja pracy, ubezpieczenia społeczne, sądy pracy, pośrednictwo pracy, swoboda ruchu zawodowego, ochrona pracy kobiet i dzieci, opieka społeczna i t. d. nie przewyższają — z wyjątkiem, jak już wspomnieliśmy, urlopów — w niczem poziomu, na którym się te dziedziny znajdują w innych krajach, a w niejednej z nich, zwłaszcza w zastosowaniu praktycznym, pozostają jeszcze daleko w tyle. Normowanie umów zbiorowych, rozjemstwo w zatargach o pracę, praca chałupnicza, bezpieczeństwo pracy, zagadnienia mieszkaniowe i wiele innych nie weszły dotychczas w obręb polskiej polityki społecznej, lub też, jak np. umowy zbiorowe i rozjemstwo, ograniczone są wyłącznie do zakresu specjalnego, t. j. do rolnictwa i do dozorców domowych. Demagogją więc, wymierzoną przeciwko polskiemu ustawodawstwu socjalnemu, jest twierdzenie, iż wybujało ono u nas ponad wszelką miarę i ponad to, co obowiązuje w analogicznych dziedzinach w świecie współczesnym. A już zgoła fantastyczny jest zarzut, iż ustawodawstwo to podkopuje zasadniczą strukturę gospodarczą Polski, że opiera się na przesłankach rewolucji społecznej i ma cośkolwiek wspólnego z tendencjami przewrotowymi. Można by mu raczej postawić zarzut, iż w niedostatecznej mierze uwzględnia głębsze przeobrażenia ekonomiczne, finansowe i moralne, które już niedwuznacznie ukazują się dzisiaj w Polsce i w całym niemal świecie.

*

Dobiegliśmy kresu uwag, do których nas skłoniła ostatnia publikacja Ministerstwa Opieki Społecznej. Na zakończenie pragniemy zachęcić wszystkich, którzy się bliżej interesują polską polityką społeczną, do jej dokładnego przestudjowania. O szerokim zasięgu jej treści niechaj świadczy poniższy wykaz jej poszczególnych rozdziałów: 1) Organizacja Ministerstwa Opieki Społecznej; 2) Tło polskiej polityki społecznej; 3) Pracownik i pracodawca; 4) Zatrudnienie i bezrobocie; 5) Ruchy migracyjne; 6) Ubezpieczenia społeczne; 7) Opieka społeczna; 8) Inwalidzi wojenni; 9) Zdrowie publiczne; 10) Współdziałanie z instytucjami porozumienia międzynarodowego. — Stanowią one prawdziwą kopalnię informacji, szerszemu ogółowi bardzo mało znanych lub zgoła poza obrębem jego wiedzy pozostających. A wszak jest to dziedzina, od której należytego rozwoju zależą najistotniejsze sprawy naszego bytu jako państwa i narodu.

FLORJAN ZNANIECKI

UCZENI POLSCY A ŻYCIE POLSKIE

2

REGULOWANIE EWOLUCJI ŻYCIA PRZEZ UCZONYCH - ERUDYTÓW

Odwieczne tradycje, według których nauka jest systemem prawd, uczony zaś człowiekiem, który ten system opanował myślowo, są głęboko ugruntowane w istotnych potrzebach życia kulturalnego. Są to potrzeby planowej regulacji przyszłych czynów, opartej na racjonalnem przewidywaniu. Słuszne jest przekonanie społeczeństwa państwowo-narodowego, że wiedza uczonych-erudytów jest niezbędna do rozumnego kierowania jego życiem. Błąd leży tylko w mniemaniu, że dla osiągnięcia tego wyniku wystarczy, by uczeni jaknajszerzej udzielali swej wiedzy i by czynni członkowie społeczeństwa jaknajgruntowniej ją sobie przyswajali. A to mniemanie jest przeżytkiem owych odległych czasów, gdy uczony był człowiekiem, który całą swą wiedzę stosował we własnem czynnem życiu, jako mędrzec a zarazem działacz, był Thukydidesem, Hippokratesem, Platonem, i gdy zdawało się, że w małych, względnie prostych i stałych społeczeństwach dość będzie dla planowej regulacji życia zbiorowego, by rządy spoczywały w rękach takich mędrców, ogół zaś rozumiał i wypełniał ich wskazówki.

Czasy te minęły. Nauki rozrosły się tak, że uczony jest w stanie opanować tylko jakąś jedną naukę, która do pokierowania własną jego działalnością pozanaukową niewiele, lub wcale nie jest mu pomocna. A życie społeczeństwa cywilizowanego tak niezmiernie się skomplikowało i przyspieszyło, że żaden działacz, ani żaden zespół działaczy nie może osiągnąć i zużytkować całej tej wiedzy naukowej, jakiej trzeba do planowego niern rządzenia.

Niewątpliwie, pierwszym warunkiem skutecznego stosowania nauki do życia jest zdobywanie przez ludzi czynu tego zasobu prawd naukowych,

którego potrzebują dla rozwiązywania konkretnych sytuacji życiowych, i umiejętność używania tych prawd jako intelektualnych narzędzi działania; widzieliśmy też, że tego im dać nie mogą uczeni - profesorowie. Ale to jeszcze nie wystarcza. Planowa regulacja nowoczesnego życia kulturalnego wymaga jeszcze czegoś więcej, niż połączenia u jednostek czynnej energii i inicjatywy z praktycznie użyteczną wiedzą i umiejętnością jej stosowania. Jest to sprawa wspólna społeczeństwa jako całości, nie tylko sprawa ogółu jego członków. Wymaga ona trwałego współdziałania *całego zorganizowanego zespołu uczonych z całym zorganizowanym zespołem czynnych przywódców i kierowników państwa i narodu*.

Widnokraż umysłowy i praktyczny człowieka czynu, najbardziej nawet wykształconego, jest z konieczności ograniczony do tego typu zagadnień życiowych, których rozwiązywania oczekuje od niego środowisko z racji jego roli społecznej. Z każdym stanowiskiem łączy się normatywnie ustalona funkcja, wyznaczająca zgóry, jakimi sytuacjami człowiek na takim stanowisku ma się zajmować i jak je definiować, aby ich rozwiązanie zadowoliło jego krąg społeczny. W rozwiązywanie tak zdefiniowanych sytuacji (o ile go nie krępuje wola zwierzchników lub ciasne przepisy) może wносить najszerszą żywą wiedzę zamiast rutyny, mieć poczucie odpowiedzialności za całokształt każdej sytuacji, zamiast tylko tego schematycznego fragmentu, którym nauczył się operować w szkole, może znakomicie organizować współdziałanie pomocników i ekspertów. Ale cała jego działalność zawiera się w ramach powinności uregulowanych przez tradycję, obyczaj, ustawy, potrzeby bieżące otoczenia, stosunek jego funkcji do funkcji innych ludzi. Jako kupiec, rolnik, przemysłowiec, lekarz, adwokat, sędzia, poseł, wojewoda, minister, musi to czynić, co do niego na tem stanowisku należy, choć może to czynić lepiej lub gorzej, działać więcej lub mniej.

Myśl człowieka czynu zamyka się nieuniknienie w tych kategoriach, które operuje w teraźniejszości, ujmując problemy, wchodzące w zakres jego funkcji: teraz, tutaj narzucają mu się bezustannie sytuacje, które trzeba zdefiniować zgodnie z jego rolą i jaknajskuteczniej rozwiązać. W najlepszym razie uwzględnia prócz swoich problemy innych ludzi, których działalność, tak samo jak jego, jest ustalona przez ich funkcje społeczne. Gdy sięga w przyszłość, to dlatego i o tyle właśnie, że są sytuacje, nie dające się zaraz rozwiązać, złożone i długotrwałe, wymagające długiej, skomplikowanej serii czynów, którą zgóry trzeba uplanować. Ale przyszłość ujmuje w teraźniejszych swych kategoriach, przewiduje w niej tylko problemy, podobne do tych lub wyrastające z tych, które rozwiązuje obecnie. Nie zdaje sobie sprawy, że przyszłość może przynieść zupełnie inne problemy i że

to, co obecnie wydaje się ważne, może się wówczas okazać nieistotne. Nie umiając spojrzeć na terażniejszość z punktu widzenia owych możliwości, nie dostrzega tych zarodków nowej przyszłości, jakie w niej już istnieją, ignoruje, bagatelizuje lub bezradnie pomija fakty, które zczasem postawią jego lub jego następców wobec sytuacji, z jakimi zupełnie nie będą mogli sobie dać rady. Jeżeli jest człowiekiem umysłowo wyjątkowym i przewiduje to, czego inni nie przewidują, wymagania jego funkcji społecznej nie pozwalają mu działać zgodnie ze swymi przewidywaniami, gdyż każą mu zajmować się rozwiązywaniem obecnych zagadnień, nie przygotowaniem do przyszłych. A jeżeli nawet sam ma odwagę działać inaczej, niż jego krąg społeczny żąda, nie znajduje współpracowników, gdyż ci, którzyby mogli z nim współpracować, są wszak związani, i umysłowo i moralnie, wymaganiami ich własnych ról społecznych.

Aby więc ludzie czynu mogli sami obmyślić i zrealizować takie dokonania, jak stworzenie państwa polskiego, rewolucja komunistyczna w Rosji, przewrót narodowo-socjalistyczny w Niemczech, trzeba nadzwyczajnego zbiegu okoliczności: genialnego przywódcy, nie spełniającego żadnej ustalonej roli w dotychczasowym porządku społecznym; zastępu zwolenników, którzy za jego przykładem kierują się w działaniu przyszłymi możliwościami raczej niż terażniejszą rzeczywistością; takiego osłabienia dotychczasowego porządku, że opór przeciw nowym możliwościom daje się przezwyciężyć. Tego rodzaju zaś nadzwyczajne nowe dokonanie jest dopiero zainicjowaniem, nie wypełnieniem wielkiego zadania planowej regulacji życia. Bo skoro nowy porządek jako tako się zorganizuje i role społeczne w nim zostaną wyznaczone i rozdane ludziom czynu, na nowo uwydatnia się zasadnicza ich niezdolność do wyjścia poza widnokrąg ich funkcji społecznych ¹⁾.

Gdyby nowoczesne życie kulturalne zmieniało się tak powoli, jak przed paru tysiącami lub nawet paruset laty, ta ograniczoność widnokręgu ludzi czynu nie byłaby tak szkodliwa. Nagromadzające się a niedostrzegane przez nich zmiany prowadziły wprawdzie zawsze do nieprzewidzianych kryzysów, wstrząsających całą strukturą społeczno-kulturalną; lecz kryzysy te były dość rzadkie, aby siły żywotne normalnego społeczeństwa pozwalały je przezwyciężać i po zaimprovizowanej przebudowie struktury powracać do względnie normalnego trybu. Ale dziś wstrząsy takie są zbyt częste,

¹⁾ Jednym z przejawów wyjątkowego genjuszu Józefa Piłsudskiego było, że w przeciwieństwie do Mussoliniego lub Hitlera nie chciał przyjąć określonej roli społecznej dyktatora państwa, ale działał swym potężnym autorytetem moralnym, pozostawiając mu swobodę osobistej twórczości. Lecz tylko on jeden w całym zespole współtwórców państwa umiał i mógł się obejść bez czerpania władzy z urzędowego stanowiska.

a struktura społeczno-kulturalna staje się coraz większa i bardziej skomplikowana; coraz trudniej ją przebudowywać metodami, improwizowanymi pod naciskiem nieprzewidzianego kryzysu. Może nadejść chwila, gdy nagle padnie w gruzy i żaden wysiłek zbiorowy odbudować jej nie zdoła.

Dzieje ostatnich stu lat, to dzieje postępowego bankructwa ludzi czynu, jako samowystarczalnych kierowników życia. Źródłem tego bankructwa nie jest to, co robią, lecz to, czego zaniedbują; nie jest ono wynikiem popełnionych przez nich błędów, lecz nieurzeczywistnionych, gdyż niedostrzeżonych przez nich możliwości. Nie orjentując się w nowych siłach, narastających w życiu zbiorowym, nie umieli nimi zawczasu pokierować, zwrócić ku pozytywnym, konstrukcyjnym zadaniom, i dopuścili do tego, że siły te, nieopanowane, burzycielsko działać zaczęły. Uderzające mamy tego przykłady: ruch narodowościowy, który zamiast do „braterstwa ludów“, przewyciężającego konflikty państw dynastycznych, doprowadził do takiego spotęgowania walk międzypaństwowych, jak w Wielkiej Wojnie; ruch robotniczy, który zamiast w jakiejś nowej, szerszej i głębszej realizacji haseł wolnościowych końca XVIII wieku, doprowadził do niszczycielskiej rewolucji mas uciemiężonych i opresyjnego systemu bolszewickiego; wreszcie niebывały wzrost wytwórczości, który zamiast w ogólnym a trwałym zapewnieniu bezpieczeństwa i dobrobytu ekonomicznego, objawia się w coraz gorszych kryzysach ekonomicznych. Słabością nieprzewyciężoną ludzi czynu jest brak gruntownej a syntetycznej wiedzy o całokształcie tej rzeczywistości, którą kierują, oraz brak wyobraźni twórczej do planowania w przewidywaniu przyszłości, odmiennej niż teraźniejszość. I tu właśnie otwiera się wielkie pole dla uczonych.

*

Uczeni nie mogą zastąpić ludzi czynu jako kierownicy życia zbiorowego: większość ich, to niedołęgi życiowe, a ci, którzy mają energię i zdolności praktyczne, w rolach kierowników, jako prezydenci, ministrowie, szefowie departamentów, wojewodowie i t. d., nie działają inaczej niż inni ludzie wykształceni, gdyż nie mają ani czasu ani możliwości na prowadzenie badań nad rzeczywistością którą rządzą i tworzenie planów, opartych na tych badaniach. Zupełnem zaś marnotrawieniem wiedzy uczonych jest używanie ich jako doradców-ekspertów do rozwiązywania zagadnień, postawionych przez ludzi czynu; w takiej roli funkcjonować może każdy odpowiednio wyszkolony technik-specjalista. Rola właściwa uczonego nie na tem polegać winna, aby radzić ludziom czynu, czy i jak mają wykonać coś, co obecnie zamierzają, lecz na tem, aby, nie wiążąc się wcale obecnymi ich zamiarami, wskazywać im takie kierunki i możliwości działania na przy-

szość, jakich nietylko jeszcze nie zamierzali, ale o jakich prawdopodobnie sami nigdyby nie pomyśleli.

Naszem zdaniem, polscy uczeni - erudyci, zamiast każdy z osobna bezużytecznie nauczać w szkole wyższej, wszyscy razem powinni mieć sobie powierzona wspólną funkcję zawodową — funkcję planowego regulowania ewolucji życia polskiego. Funkcja ta obejmowałaby: 1) systematyczne, ciągłe badanie całej rzeczywistości naturalnej i kulturalnej, wchodzącej w zakres doświadczeń i działań społeczności polskiej, 2) tworzenie na podstawie tych badań planów postępowego przekształcania, doskonalenia, rozwijania życia kulturalnego tej społeczności. Zadaniem wspólnym kierowników społecznych byłaby realizacja tych planów przy pomocy techników i ekspertów wszelkich dziedzin.

Rozumie się, że spełnianie takiej funkcji wspólnej wymagałoby odpowiedniego zorganizowania współpracy uczonych. Czynności badawcze oczywiście przypadłyby w udziale przedstawicielom nauk ściśle teoretycznych, czynności planowania — przedstawicielom nauk stosowanych. Między temi grupami konieczne byłoby ciągłe wzajemne porozumienie, tak, by pierwsza grupa badała wszystko to, czego druga do swych planów potrzebuje, ta zaś uwzględniała wszystkie wyniki badań pierwszej.

Nie możemy tu, rzecz prosta, wyznaczać, jaką część tej funkcji przedstawiciele każdej nauki specjalnej spełniaćby mieli; wskażemy tylko na przykładach, jak nam się to przyszłe zadanie uczonych przedstawia. Wszystkim ludziom wykształconym dobrze wiadomo, że podłoże organiczne społeczeństwa, ogólny stan biologiczny jego członków w danym pokoleniu i kierunek ewolucji biologicznej następujących po sobie pokoleń jest wprawdzie jednym tylko, lecz bardzo doniosłym współczynnikiem jego obecnego i przyszłego życia kulturalnego. Każdemu społeczeństwu zależy na tem, aby ten stan był jaknajlepszy i kierunek ewolucji zdążał ku dalszemu jego polepszeniu. Pierwszym jednak, oczywistym warunkiem jakiegokolwiek rozumnego działania w tym zakresie jest naukowe zbadanie faktów. Należałoby tedy, aby wszyscy przedstawiciele nauk biologicznych w Polsce, zajmujący się życiem organicznem człowieka — antropologowie, anatomowie, fizjologowie, patologowie — poświęcili się zorganizowanym, stałym badaniom nad życiem organicznem i ewolucją biologiczną całej ludności Polski, oraz aby na podstawie tych badań terapeucy, higieniści, eugenicy tworzyli plany doskonalenia obecnego stanu i kierowania przyszłą ewolucją. Realizacja tych planów przez kierowników czynnych społeczeństwa przy pomocy lekarzy, pielęgniarek i t. d. byłaby nadal stale badana i plany modyfikowane w zależności od zaobserwowanych konsekwencji.

Jasnym jest, że sprawa realizacji tych planów zazębia się o inne, nie mniej obszerne i złożone zagadnienia. Stan i ewolucja życia organicznego ludności polskiej zależy od środowiska naturalnego, w jakim ta ludność żyje — ziemi, wody i klimatu, świata roślinnego i zwierzęcego. Mamy więc tu wielkie pole do zorganizowanych badań wspólnych dla geografów, geologów, mineralogów, gleboznawców, meteorologów, botaników, zoologów, i do zorganizowanego planowania dla przedstawicieli odpowiednich nauk stosowanych, jak inżynieria wodna, górnictwo, leśnictwo, rolnictwo, hodowla. Te zaś prowadzą nas bezpośrednio do całej kwestji kultury technicznej ludności polskiej. Wprawdzie jeszcze ergologia, t. j. ogólna teoria kultury technicznej istnieje tylko jako część etnologji ludów niższych, łatwo jednak wyrobione już tam metody rozszerzyć na całokształt zjawisk technicznych narodu cywilizowanego i przeprowadzić wszechstronne badania całej techniki, faktycznie istniejącej na ziemiach polskich, od budowy chaty, rękodzielnictwa domowego, najniższych form rolnictwa i ogrodnictwa (które już badają etnografowie) aż do budowy gmachów publicznych, wielkich fabryk, kolei, postępowych gospodarstw rolnych (które są tak samo faktami kulturalnymi jak tamte i tak samo winny być obiektywnie, naukowo badane). Jeżeli bowiem całe życie techniczne Polski ma się racjonalnie rozwijać, rozwój ten musi być planowy, a wszelkie planowanie musi się oprzeć na gruntownej wiedzy teoretycznej o istniejącej rzeczywistości i zachodzących w niej zmianach.

Powyższe dziedziny życia polskiego wiążą się nierozzerwalnie ze złożoną i zróżnicowaną strukturą ekonomiczną Polski i zachodzącymi w niej ekonomicznymi procesami; nie trzeba się nad nią rozwodzić, gdyż to jest jedyna dziedzina życia polskiego, której naukowe badanie i planowa regulacja są ogólnie uważane za potrzebne. Wszystko to zaś najściślej się łączy związkami zależności wzajemnej z tym olbrzymim kompleksem faktów specyficznie społecznych, którymi zajmuje się socjologia — faktów międzyludzkiej przychylności i antagonizmu, współdziałania, walki, trwałych stosunków i dobrowolnie uznawanych powinności, wychowawczego kształtowania osobników i regulacji ich ról społecznych, składu, struktury i zmian niezliczonych grup społecznych, od rodziny, gminy, stowarzyszenia aż do kościoła, narodu i państwa²⁾.

Wiadomo, że już dziś różni uczeni polscy prowadzą badania nad faktami rzeczywistości polskiej lub tworzą plany na przyszłość. Badania te są

²⁾ Na innym miejscu podaję program systematycznych badań socjologicznych nad kulturą społeczną i życiem społecznym Polski.

jednak fragmentaryczne, niespolone i niezorganizowane nawet w zakresie jednej specjalnej dziedziny, mowy zaś nawet niema o systematycznym współdziałaniu, ogarniającem całokształt faktów, ważnych dla życia polskiego. Nie mniej fragmentaryczne są plany, nie liczące się ze ścisłą zależnością wzajemną wszystkich dziedzin kultury i życia w całym społeczeństwie polskim. Nie można się temu dziwić, skoro są to badania czynione przy pomocy środków śmiesznie małych w chwilach wolnych od głównej funkcji zawodowej uczonych — nauczania — i skoro planów tych nikt nie próbuje w pełni realizować, a większości ich kierownicy społeczni wogóle nie biorą pod uwagę. Aby uczeni polscy mogli spełniać tę wielką funkcję regulowania ewolucji życia polskiego, musi to być jedyna ich funkcja zawodowa, muszą im być dane dostateczne środki techniczne i zastęp pomocników, a przede wszystkim musi nastąpić całkowite przekształcenie obecnego stosunku między ludźmi czynu a uczonymi. Czynni kierownicy życia polskiego muszą zrozumieć (a sprawą uczonych jest pomóc im w tem zrozumieniu) własną niezdolność do planowego regulowania ewolucji życiowej i konieczność poddania się intelektualnemu przodownictwu zespołu uczonych, pod groźbą odpowiedzialności za niedaleką ruinę kultury polskiej i rozpad społeczeństwa polskiego.

Tę wielką rolę przodownictwa intelektualnego przypisujemy uczonym-erudytom. Wymaga ona bowiem tego typu badań, który jest charakterystyczny dla uczonych-erudyto: nie tworzenia nowych teoryj, lecz rozszerzania już istniejących teoryj na nowe fakty, poznawczego opanowywania masy szczegółowych zjawisk przy pomocy już ustalonego systemu prawd ogólnych. Rozumie się, że przytem na każdym kroku uczeni-erudyci, systematycznie prowadzący takie badania, dorzucać będą nowe przyczynki do swych nauk — bez porównania więcej, niż to dzisiaj większość ich czyni, gdy każdy z osobna, w chwilach wolnych od obowiązków profesorskich, zajmuje się rozwiązywaniem jakiegoś specjalnego zagadnienia, które mu nasunął przypadkowy pomysł lub subiektywne zainteresowanie ³⁾).

³⁾ Wydaje się napozór, że w tej wielkiej funkcji zbiorowej uczonych niema właściwych zadań dla przedstawicieli nauk historycznych, które w potocznym przekonaniu nie nadają się do praktycznych zastosowań. Nie tu miejsce rozwodzić się nad tą sprawą; sądzimy jednak, że jest to przekonanie zupełnie błędne i że istnieje wielkie a prawie nietknięte pole dla stosowanej wiedzy historycznej, której zadaniem byłoby wprowadzanie perspektywy dziejowej do wszelkiego planowania, ustalającego określone cele działań obecnych i przyszłych. Historyczna relatywizacja wszelkich kulturalnych sprawdzianów przeciwdziałałaby nieuniknionemu bez niej zacieśnianiu planów do pewnych wartości traktowanych jako absolutne, z pominięciem całego bogactwa wartości, w danej chwili nieaktualnych.

CZY POLSKA CHCE MIEĆ UCZONYCH - TWÓRCÓW?

Wspomnieliśmy dawniej, że twórczość naukowa podlega zupełnie innym zasadom normatywnym, niż zasady logiczne systemu prawd naukowych oraz zasady metodyczne tych czynności, które dany system krytycznie odtwarzają, poprawiają i dopełniają, rozszerzając go na nowe fakty. Twórcze badanie szczegółowe, w odróżnieniu od dopełniającego przyczynku, nie zdąża do zakończenia procesu badawczego w danym kierunku przez jakiś wynik bezsporny i ostateczny, lecz do zainicjowania nowego kierunku badań; odkrycie, do jakiego prowadzi, jest zgóry ujęte nie jako rozwiązanie zamykające jakiś znany problem, lecz jako otwarcie głębszych, trudniejszych, przedtem nieznanych problemów. Systematyzacja twórcza nie jest też budowaniem z wyników dokonanych badań trwałego gmachu naukowego, lecz organizowaniem mających się dokonywać badań w odniesieniu do nieosiągniętego i zasadniczo nieosiągalnego ideału teoretycznego. Nauka jako system czynności twórczych nigdy nie jest i nie może być „prawdziwa“, gdyż zna ona tylko problemy ważniejsze lub mniej ważne dla tworzenia nowych hipotez, hipotezy płodniejsze lub mniej płodne dla stawiania nowych problemów. Wszelka pewność jest jej obca, gdyż żyje właśnie ciągłą niepewnością w oczekiwaniu nowych odkryć i nowych ideałów teoretycznych.

Od czasu do czasu wytworzone w tym postępie hipotezy, z pominięciem tych nowych problemów, jakie otwierają na przyszłość, są zestawiane między sobą i porównywane z uznawanym dawniej systemem prawd. Wynikające stąd sprzeczności logiczne, o ile nie dają się rozwiązać przez proste odrzucenie nowych hipotez jako „nieudowodnionych“, prowadzą do zastąpienia dawnego systemu prawd przez nowy, w którym każda z owych hipotez w logicznym oparciu o cały system nabiera charakteru pewnika naukowego. Ta stabilizacja hipotez jako elementów systemu prawd odbywa się poczęści pod wpływem dążenia uczonych zamiłowanych w porządku formalnym do jednoznacznej symbolizacji nauki w wolnym od sprzeczności systemie zdań, poczęści (może głównie) pod wpływem potrzeby oparcia się na ustalonych pewnikach przy praktycznym zastosowaniu wiedzy.

Podczas gdy nauka jako logiczny system prawd jest całkowicie bezosobista i czynności jej krytycznego stwierdzania i dopełniania mają być w zasadzie tak wykonywane, jak gdyby indywidualność uczonego była zu-

pełnie obojętna, badania twórcze i twórcza ich systematyzacja są osobiste w samej swej istocie. Nie znaczy to bynajmniej, że są subiektywnie dowolne: normy metodyczne, do których uczony - twórca stosuje się w poszczególnych swych badaniach, są przez niego i wszystkich, którzy z jego badań korzystają, uznawane jako obiektywnie obowiązujące, a ideał teoretyczny, w odniesieniu do którego systematyzowane są problemy przyszłych badań, jest obiektywną, nadindywidualną wytyczną dla wszystkich uczonych, biorących udział w jego urzeczywistnianiu. Ale w twórczej działalności każdego z nich jego osobowość tak samo się objawia i realizuje, jak w działalności poety, artysty, mistyka, reformatora społecznego, bohatera. Porozumiewanie się twórców nie polega na jednoznacznej symbolizacji ustalonych wyników, lecz na wzajemnym rozumieniu dokonanych i dokonywujących się czynności; sprawdzianem osiągniętego porozumienia nie jest zgoda co do prawdziwości lub fałszywości zdań, lecz kontynuowanie czynności twórczych jednego uczonego przez innych, użycie jego hipotez do nowych problemów, jego problemów do nowych hipotez.

Normatywna regulacja i idealna systematyzacja czynności naukowo-twórczych rozwinęły się dopiero w czasach nowszych, choć zaczątki ich już istniały w starożytności klasycznej. Do niedawna twórczość naukowa była czymś sporadycznym i nadzwyczajnym; nieraz traktowana była jako bunt subiektywny przeciw obiektywnym systemom prawd i uznającemu je społeczeństwu. I dziś jeszcze względnie niewielu jest uczonych, oddających się jej trwale i systematycznie; więcej jest tych, którzy tylko zrzadka w niej uczestniczą, najwięcej zaś takich, którzy wcale nie starają się brać w niej udziału i zwykle wogóle nie zdają sobie sprawy, że między badaniem twórczym, wiążącym się dynamicznie z innymi badaniami twórczymi, a badaniem przyczynkowym, którego wynik logicznie dopełnia ustalony system prawd, zachodzi różnica nie stopnia, lecz istoty.

W związku z tą późną normalizacją twórczości naukowej i stosunkowo niewielką liczbą jej uczestników stoi to, że nie wyrobiła sobie ona jeszcze odpowiednich form wykładu, któreby należycie wyrażały przebieg czynności naukowo-twórczych i systematyczne ich powiązanie w dążeniu do ideału teoretycznego. Nawet w dziełach metodologicznych normatywna organizacja twórczości naukowej rzadko znajduje zrozumienie, gdyż refleksja metodologiczna stoi jeszcze pod przemożnym wpływem logiki. Spodziewać się należy, że nowoczesny postęp logiki formalnej (w którym logicy polscy tak znaczny biorą udział) pomoże jej się od tego wpływu uwolnić, gdyż z rosnącym uściśleniem logiki coraz oczywistszym się staje, że zasady

jej nie mają nic wspólnego z normami metodycznymi badań naukowych⁴⁾.

*

W świetle powyższych rozważań zrozumiałem jest, że uczony-twórca różni się głęboko od uczonego-erudyty. Jego osobiste życie naukowe jest zupełnie inaczej zorganizowane. W obecnym stadium badań porównawczych nad osobowością kulturalną niepodobna orzec, o ile ta różnica jest wynikiem jakiejś przyrodzonej dwoistości typów *psychologicznych*, o ile zaś wyjaśnia się różnicami warunków osobistego rozwoju. Na niekorzyść rozpowszechnionego poglądu, jakoby „twórca się rodził“ zasadniczo różnym od nie-twórców, przemawiają (o ile chodzi o uczonego-twórcę) dwa argumenty. Po pierwsze, jak się zdaje, między uczonymi-twórcami a wybitniejszymi uczonymi-erudytami niema zasadniczej różnicy poziomu umysłowego, ocenianego według psychologicznych sprawdzianów inteligencji (choć przy dzisiejszej organizacji współpracy naukowej minimalny poziom inteligencji, społecznie wymagany od człowieka funkcjonującego w roli erudyty, jest bezwątpienia niższy od tego minimalnego poziomu, jaki jest niezbędny dla naukowego współdziałania z uczonymi-twórcami). Po drugie zaś, niema jakiejś ogólnej postawy osobistej uczuciowo-wolicjonalnej, któraby cechowała typowo uczonego twórcę w odróżnieniu od erudyty. Wprawdzie ich postawy osobiste w dziedzinie nauki są zasadniczo różne, skoro erudyta pragnie pewności i stałości, twórca z radością podejmuje ryzyko i czuje się doskonale w prądzie zmian. Ale tenże twórca często w życiu poza-naukowym szuka stałości i unika wszelkich niepokojących praktycznych problemów; natomiast wielu uczonych-erudytów wykazuje poza nauką wybitny aktywizm życiowy i gotowość do udziału w zmiennej rzeczywistości, i dlatego właśnie nadaje się do roli regulatorów ewolucji życiowej.

Niewątpliwie jednak uczony-twórca w swojej dziedzinie stanowi odrębny typ *kulturalny*, jakiegokolwiek zresztą czynniki wpłynęły na jego wytworzenie. Otóż dla tego typu kulturalnego społeczeństwo polskie nie posiada odpowiedniej roli społecznej. I gdzieindziej zresztą nader rzadkie są stanowiska i funkcje zawodowe dla uczonych-twórców; w Polsce niema

⁴⁾ Dokładniejsza analiza wykaże prawdopodobnie, że i w badaniach przyczynkowych, oraz w samym przebiegu doskonalenia formalnego systemu prawd, nieraz doprowadzającego do jego przebudowy, istnieją pierwiastki twórcze, niesprowadzalne do porządku logicznego. Mimo to odróżnienie tych czynności od czynności naukowo-twórczych jest istotne, gdyż pierwsze usiłują się poddać regułom logiki, drugie — wytwarzają własne normy metodyczne.

ich wcale. Nic to dziwnego: z punktu widzenia nie tylko obecnych wymagań społeczeństwa polskiego, ale i najistotniejszych warunków jego bytu, uczytny-twórca jest typem zupełnie bezużytecznym.

Niepodobna go zużyć do nauczania w szkole wyższej, już choćby ze względów techniki pedagogicznej. Twórczych czynności poznawczych nikt się nie nauczy. Można tylko ułatwić uczniowi samorzutny ich rozwój przez zaproszenie go do udziału we własnej twórczości, a tego programy szkół zupełnie nie przewidują. Szkoły wyższe nie istnieją dla rozwoju twórców naukowych, lecz dla kształcenia ludzi praktyki i nauczycieli (widzieliśmy poprzednio, jak to zadanie spełniają). Gdyby uczeni-twórcy funkcjonowali jako profesorowie, nie udzielaliby studentom wiedzy pewnej i ustalonej, uważanej za potrzebną dla przyszłej praktyki (i rzeczywiście potrzebnej, choć w innym niż teoretyczny układzie). Przy tym zaś niskim poziomie i krótkim trwaniu wykształcenia naukowego, jakiego wymaga się od ogółu studentów szkół wyższych, zapoznanie ich z przebiegiem twórczości naukowej byłoby w ogóle niemożliwe, i próby w tym kierunku wywoływałyby u większości zupełną dezorientację umysłową, oraz złudzenie subiektywności, dowolności, nieważności nauki w ogóle, wysoce niepożądane nie tylko dla ich wykształcenia naukowego, ale i dla życia polskiego w ogóle.

To też profesorowi stawia się, wyraźnie lub domyślnie, całkiem słuszne w tych warunkach wymaganie, aby jeżeli chce działać jako twórca naukowy, czynił to poza swą rolę zawodową, w tej roli zaś występował jako erudyta-nauczyciel. Jego wysiłki twórcze są tolerowane, o ile go nie odrywają od właściwej „pracy zawodowej“ — lecz nic więcej. Dopiero gdy wykaże się wybitnymi wynikami, które zostaną uznane za pewne z punktu widzenia sprawdzianów logicznych i przyjęte przez erudytów, wtedy zostaje publicznie wyróżniony jako twórca i uzyskuje przez to pewne stanowisko moralne, które zresztą pomaga mu bardzo mało do dalszej twórczości i nie zwalnia wcale z obowiązków erudyty, przywiązanych do jego funkcji zawodowej. Zwykle przytem i to stanowisko moralne zdobywa dopiero wtedy, gdy już najpłodniejszy okres jego twórczości minął.

Natomiast u młodych adeptów nauki, kandydatów na stanowiska profesorskie, twórczość naukowa nie jest nawet tolerowana. Dostępne im w okresie młodości stanowiska zawodowe, zresztą nieliczne i o bardzo niskich pozycjach ekonomicznych, wymagają od nich wielkiego nakładu pracy pomocniczej, technicznej i pedagogicznej, zostawiającej mało czasu i energii na właściwą pracę naukową. Ta zaś poddana jest najściślej sprawdzianom logiki i erudycji. Młody kandydat może zczasem osiągnąć stanowisko profesorskie tylko przez szereg dokładnie wykonanych przy-

czynków do istniejącego systemu nauki; szersze pomysły naukowo-twórcze szkoda mu w karierze. I słusznie. Gdyż przy obecnym przebiegu studiów szkolnych młody osobnik o odpowiednim poziomie inteligencji daleko wcześniej jest zdolny do wykonywania dobrych przyczynków naukowych niż do metodycznych twórczych badań. Jego wczesne pomysły naukowo-twórcze nie czynią zadość ani wymaganiom logiki i erudycji, ani normom twórczości. Trudno je nieraz odróżnić od fantazjowania leniuchów-marzycieli lub dziwactw grafomanów. Tylko uczeni-twórcy, umożliwiając mu swobodne rozwijanie i doskonalenie jego pomysłów, po dłuższej z nim styczności mogą zdolności jego osądzić, nie czekając, aż wreszcie osiągnie należyte wyrobienie metodyczne i zacznie istotnie współdziałać w tworzeniu nauki — co może potrwać długie lata. Do takiego swobodnego, długiego rozwoju w zetknięciu z twórcami społeczeństwo nie daje i nie chce dać warunków ludziom, którzy się jeszcze „niczem nie wykazali“ i których przyszłość naukowa jest niepewna. A gdyby im nawet te warunki dało — co po tem, skoro i tak dla twórców niema ról społecznych.

Nie byłoby ich nawet wtedy, gdyby uczeni, jak tu proponujemy, współdziałać zaczęli z kierownikami życia polskiego, stosując swą wiedzę do badań ekstensywnych o wielkiej praktycznej doniosłości. Do tego rodzaju badań uczony-twórca zupełnie się nie nadaje; dla niego rzeczywistość jest tylko materiałem dla nowych teorii, źródłem nowych problemów i sprawdzianem nowych hipotez, nie zaś masą danych i samowystarczalnych faktów szczegółowych, które należy zaobserwować, poklasyfikować i wyjaśnić z punktu widzenia już ustalonego systemu prawd ogólnych.

Jeżeli jednak uczeni-twórcy są nieprzydatni ani na nauczycieli ogółu młodzieży, ani na intelektualnych współpracowników ludzi czynu, którzy kierują życiem polskim, to czy nie jest zupełnie uzasadnione, że społeczeństwo polskie, prócz części samych uczonych i niewielkiej grupki ideologów, nie popiera twórczości naukowej i mało się nią interesuje? POCO Polsce uczeni-twórcy? Oczywiście, rozwój twórczości naukowej wogóle jest pożądanym, skoro dzięki niemu powstają coraz większe, bogatsze systemy prawd, dające się coraz lepiej użytkować w praktyce. Ale ten ogólny postęp nauk i tak się dokonywa poza Polską, w zamożniejszych, liczniejszych, wyżej kulturalnie stojących społeczeństwach. Czy dla naszego ubogiego i zacofanego społeczeństwa nie dość będzie mieć zwarty zastęp sumiennych, ścisłych a pomysłowych uczonych-erudyków, którzy przyswajając sobie będą w pełni systemy prawd, ustalonych zagranicą, i rozumnie a przemyślnie stosować je do rzeczywistości polskiej?

Prawda, że wchodzi tu w grę nasz *prestige* narodowy. Jakkolwiek

prawie nigdzie jeszcze dla uczonych-twórców niema odpowiednich ról zawodowych, lecz jeśli mimo to uczony, działając na własną odpowiedzialność i z własnej inicjatywy, dojdzie do ważnych odkryć, wtedy odbłask spływającej na niego sławy opromienia jego społeczeństwo, przynajmniej w oczach ludzi nauki. Naród, który od czasu do czasu nie wykaże się owocami twórczości naukowej, podobnie jak naród, który czasami nie wyda wielkiego artysty lub poety, jest uważany za niższy wśród narodów. *Prestige* twórczości może mieć nawet praktyczne znaczenie w stosunkach międzynarodowych.

Ale ludzie trzeźwi nie przeceniają tego znaczenia, zwłaszcza że dokonania naukowe mniej się nadają do propagandy, niż dzieła z zakresu literatury, muzyki, sztuk plastycznych, lub nawet wyczyny sportowe. Nawet zaś ze względu na nasz wpływ nazewnątrz bez porównania ważniejszą jest sprawą systematyczne umacnianie, organizowanie, podnoszenie całego naszego życia zbiorowego. A w świetle tego zadania zarysowują się pewne wątpliwości, czy wogóle nie jest rzeczą ryzykowną nadawanie twórczości naukowej większej roli w życiu polskim.



Mówiąc, że uczony-twórca jest dziś w Polsce życiowo „bezużyteczny“, nie powiedzieliśmy jeszcze wszystkiego. W istocie bowiem uczony-twórca jest w dzisiejszych czasach *najniebezpieczniejszym* człowiekiem dla wszelkiego ustalonego porządku — społeczno-prawnego, społeczno-moralnego, ekonomicznego, religijnego. Zawsze zresztą był niebezpieczny; zwykle jednak przed stróżami stałych porządków ratowało go albo to, że ludzie czynu nie rozumieli tego co tworzył, albo że praktyczne konsekwencje jego twórczości następowały późno, najczęściej po jego śmierci, i związek ich z jego działalnością był niejasny. Nieraz też on sam w niewinności ducha nie uświadamiał sobie niebezpiecznych możliwości swych czynności, patrzył na siebie tak, jak inni na niego patrzyli — jako na pustelnika, żyjącego w oderwanej od rzeczywistości dziedzinie myśli teoretycznej, nikomu nie wchodzącego w drogę i pragnącego tylko, by go ludzie czynu zostawili w spokoju.

Dopiero od niedawna, w świetle dziejów ostatnich dwóch — trzech stuleci, zaczynamy się orjentować, że już nie, jak niegdyś, wodzowie najeżdżących zastępów, nie genjusze-autokraci, przekształcający państwa, nie heretycy, nie przywódcy wielkich przewrotów politycznych i ekonomicznych, lecz uczeni-twórcy stali się mimowoli *przodownikami w rewolucyjnych*

przemianach świata cywilizowanego. Bowiem w ślad za spokojną, zapatrzoną w dal poza-życiową, postacią uczonego-twórcy kroczy dziś bezpośrednio groźna, wpatrzona w rzeczywistość życiową, postać *wynalazcy*. W ciągu ostatniego stulecia zmienił on się bardzo. Niegdyś był człowiekiem, którego sporadyczną inicjatywę pobudzały wyłącznie sytuacje praktyczne i który, tak jak inni ludzie czynu, używał nauki (jeżeli jej wogóle używał) tylko jako narzędzia praktycznego w postaci ustalonych pewników. Dziś natomiast zaczyna on czerpać swe natchnienie wprost z twórczości naukowej. Nie czeka nawet, aż nowe odkrycia uczonego zostaną krytycznie sprawdzone i włączone w logiczny system prawd: nie waha się brać za wytyczne hipotez jeszcze niepewnych, aby zobaczyć, co z nich dla życia praktycznego wyniknąćby mogło. Więcej nawet: nowe a nierozwiązane problemy naukowe nasuwają mu nowe problemy praktyczne i czeka z niecierpliwością ich hipotetycznych rozwiązań, aby te rozwiązania w praktyce wypróbować. Nie raz też staje się sam na czas pewien uczonym-twórcą, jak też i odwrotnie, uczony-twórca niekiedy na krótko staje się wynalazcą. Naogół jednak funkcje te są tak odmienne i pochlaniające, że tylko jednostki wyjątkowe umieją je stale i równolegle wykonywać.

W czasach nowożytnych, odkąd zanikł stary magiczny strach przed nowościami, świat cywilizowany przyjmował wynalazki coraz życzliwiej. Ogromna większość wynalazków dokonywała się w dziedzinie techniki materialnej nieorganicznej, rolnictwa, hodowli, medycyny i higieny. Każdy taki wynalazek w bezpośrednich swych konsekwencjach przedstawiał się jako ułatwienie, usprawnienie lub uprzyjemnienie życia praktycznego w danej dziedzinie, i rozpowszechniał się dzięki tym głównie ludziom, których te bezpośrednie konsekwencje interesowały.

Dopiero zczasem zaczęły się uwydatniać dalsze, pośrednie konsekwencje ogólno-życiowe poszczególnych wynalazków, a zwłaszcza ich coraz szybszego nagromadzania się. Nie potrzebujemy się nad tą kwestją rozwodzić. Pojęcie „rewolucji przemysłowej” wyraziło część tych konsekwencji, a rewolucja przemysłowa nie tylko się nie skończyła, lecz trwa i rośnie. Są inne rewolucje, rozpoczynające się lub przygotowujące. Przeżywalismy już i zapewne przeżyjemy znów wkrótce początki rewolucyjnych konsekwencji wynalazków wojennych. Dopiero zaczynają się zarysowywać pierwsze konsekwencje wynalazków medyczno-higienicznych ostatnich dwóch pokoleń; a zaledwie przewidywać można przewroty, jakie nastąpią po wyyskaniu najnowszych wynalazków w dziedzinie rolnictwa.

Ludzkosc cywilizowaną zaczyna ogarniać strach. Coraz liczniejsze podnoszą się głosy za pohamowaniem pędu wynalazczości, a nawet za na-

wrotem wstecz. Już gdzieniegdzie, jak w kapitalizmie amerykańskim, ludzie pragnący trwania istniejącego porządku próbują okiełznać wynalazców i niszczyć wynalazki, grożące temu porządkowi widocznym niebezpieczeństwem. Lecz gdyby się nawet udało (jak Rosja sądzi) stworzyć porządek społeczny, zdolny do oparcia się rewolucyjnym konsekwencjom wynalazków technicznych, to nie wystarcza; bo oto pęd wynalazczości ogarniać zaczyna dziedziny, w których twórczość naukowa niedawno się rozwinęła i wynalazki były dotąd rzadkością.

Tak więc szybki postęp psychologii w ostatnich latach sześćdziesięciu już stał się źródłem wynalazków psychotechnicznych i pedagogicznych, które w miarę nagromadzania się mieć mogą nieobliczalne skutki. Nauka ekonomiczna już doprowadziła do kilku wielkich wynalazków, z których komunizm, oparty na ekonomice Marksa, jest najbardziej uderzającym, lecz z pewnością ani ostatnim, ani najgłębiej rewolucyjnym.

W naszym przekonaniu największe i najskrajniej przewrotowe wynalazki zbliżają się dopiero, a wyjdą z socjologii jako specjalnej nauki teoretycznej. Groźbę socjologii i socjologów dostrzegają już kierownicy autorytatywnych i obliczonych na długie trwanie struktur społecznych. Niedawno w Niemczech zamknięto instytuty i czasopisma socjologiczne, zwinięto prawie wszystkie katedry i wyrzucono większość socjologów za granice państwa; we Włoszech, mówiąc łagodnie, nie popiera się socjologii, w Związku Republik Sowieckich problemy socjologiczne są o tyle tylko dopuszczalne, o ile ich rozwiązania są zgóry wiadome i dają się zamknąć w ramach filozofji kultury Marksa i Lenina.

A rozwój wynalazczości, opartej na socjologii, umożliwi na wielką skalę urzeczywistnianie różnych innych wynalazków humanistycznych. Co będzie, jeżeli blisko związana z socjologią obiektywna teoria prawa doprowadzi do zastąpienia przez jakąś nową, nieprzewidywalną strukturę całego olbrzymiego gmachu praw i ustaw, który wszak wcale się nie opiera na naukowej wiedzy o stosunkach ludzkich, lecz na naiwnym wierzeniu, że „władza suwerenna“, wyrażając swą wolę w odpowiednim rytuale, tak samo reguluje stosunki ludzkie, jak władza magiczna cesarza chińskiego przez odpowiedni rytuał regulowała bieg przyrody? Co się stanie, jeśli z antropogeografii wyjdą wynalazki, które w praktyce doprowadzą do radykalnie odmiennego niż dziś rozmieszczenia ludności na globie ziemskim? Jeżeli z postępów religjonistyki wypłyną jakieś zupełnie nieobliczalne dziś metody nowego użytku i całkowitej reorganizacji tych olbrzymich sił duchowych, które przejawiają się w trwaniu dzisiejszych systemów religijnych? Jeżeli wreszcie wszystkie te wynalazki, dzięki twórczym syntezom naukowym

historyków, powiążą się w skutecznych dążeniach do takich ideałów kulturalnych, jakich teraz nawet przeczuć nie zdołamy?

Zaiste, w dzisiejszym czasie wiele zaryzykuje społeczeństwo, które śmiało poprze swobodną, wielką twórczość naukową, a przez to otworzy u siebie nieograniczone pole rozwoju dla wielkiej wynalazczości. Bo może się ono stać ośrodkiem rozpętanych potęg duchowych, które w ciągu kilku pokoleń zmiotą bez śladu to życie, jakie dziś znamy, i na jego miejsce wytworzą jakieś życie nowe, olbrzymie, lecz niedostępne nawet najbujniejszej naszej wyobraźni i zapewne niewspółmierne z żadnymi naszymi sprawdzianami wartości. Czy chcemy, aby społeczeństwo polskie stało się jednym z takich ognisk?

Jeżeli nie, tedy postępujemy nadal, jak dotąd, w sprawach twórczości naukowej — tylko konsekwentniej. Nietylko nie dawajmy uczonym-twórcom poparcia, ale nie tolerujemy twórczości — niszczy ją w zarodku, oczywiście nie przez jakąś naiwną represję, lecz przez wciąganie wszystkich zdolnych uczonych od wczesnej młodości do cennej a nie niebezpiecznej współpracy w planowym organizowaniu życia polskiego. Może dzięki tej współpracy nasza rzeczywistość nie rozpadnie się w gruzy, co niechybnie nastąpi po paru wstrząsach przy krótkowzrocznym, bezplanowym kierownictwie ludzi czynu, działających bez intelektualnej inicjatywy uczonych-erudytów. Może zdołamy zachować na długie lata, nawet wieki, równowagę wewnętrzną wobec bijących z szerszego świata prądów twórczości naukowej i wynalazczości, przyjmując i realizując tylko te prawdy i wynalazki, które zespół kierowników, dzięki przewidywaniu i planowaniu uczonych, będzie umiał wcielać stopniowo w życie polskie. Może przy takiej ostrożnej aktywności i rozumnej ewolucji utrzymamy się jako wyspa stateczności na burzliwym oceanie przyszłego świata i za paręset lat jakiś nowy Rousseau, w marzeniach o powrocie do pierwotniejszego, prostszego, łatwiejszego życia, naród polski cytować będzie jako wzór błogosławiony harmonijnego zrównoważenia i spokoju, który znajduje zadowolenie w małych lecz ciągłych postępach i nie ściga chimery wielkiej kultury.

Niewątpliwie, taki program odpowiada pragnieniom olbrzymiej większości narodu. Buntowałiby się przeciw niemu tylko wizjonerzy myśli i Don Kichoci życia. A na tych nie warto zwracać uwagi. Czy jednak można być zupełnie pewnym, że nie zamąciłiby oni tej doskonale normalnej przyszłości? Mało ich wprowadzie, lecz wiadomo z dziejowego doświadczenia, że trudno ich wygubić i że nie wszyscy dają się wtłoczyć w jakiekolwiek ustalone role społeczne. A tam, gdzie istnieją poza normalną strukturą społecz-

ną, działają jako ferment życiowy, często rozsadzający tę strukturę, a do jej odbudowy niezdolny.

Nasuwa się myśl fantastyczna. A gdybyśmy ich właśnie, tych wizjonerów i Don Kichotów, wysunęli na czoło w pochodzie dziejowym Polski? Gdyby cała przemysłowość wynalazców, cała wiedza i zdolność konstrukcyjna erudytów obrócone były na budowanie dróg dla narodu wślad za tymi wędrowcami w bezdroża? I gdyby cała umiejętność praktyczna i energja czynna kierowników społecznych służyły do prowadzenia narodu temi drogami — niewiadomo dokąd?... Ale pomysł to zbyt dziwaczny, aby się nad nim zastanawiać w poważnym choć popularnym szkicu.

JAN ZBINDEN

UDUCHOWIENIE TECHNIKI

O szlachetności narzędzia. Wychowanie i moralne podstawy pracy wynalazczej. Mit techniczny.

1

Dla subtelnych natur artystycznych i religijnych wiele zjawisk techniki jest dzisiaj czemś odpychającym, wytwarza się wokół niej wielka izolacja, lecz przyczyną tego nie jest maszyna sama w sobie, lecz duch któremu służy. Ponieważ niewyczerpane środki techniki służą dziś przeważnie celom ubogim i bezdusznym i przesiąknięte są, jak każda inna rzecz, atmosferą tych, którym służą, ponieważ głównie technika natrętnie wysuwa się naprzód — przeto wielu odwraca się od niej z obcością.

Wszelako zapominają oni o tem, jak niezmierzoną swobodę i szerokie pole działania zdolna jest otworzyć technika właśnie pogłębionej pracy duchowej. Technika nie musi działać „czczo“ i „rzeczowo“. Podobnie jak sama jest wytworem szlachetnych i twórczych sił wynalazców, wieloletnich ich trudów i zmagañ, samotnych poszukiwań — może ją uszlachetnić nieoczekiwane użytek, jaki z niej czynimy, i sposób, w jaki ją podporządkowujemy dziełu. Czyliż nie czujemy, że na instrumentach i narzędziach, któremi posługiwali się w pracy wielcy ludzie: badacze, malarze, rzeźbiarze, pozostało coś niezatartego, coś jakby namaszczenie? Coś nakształt tego, jakby te „martwe“ sprzęty: rylec i dłóto, pendzel i paleta, szpinet i skrzypce, lupa i luneta, laboratorium i warsztat, codzienni świadkowie i pomocnicy duchowego działania, przez nie ożyły, nabrały zachwycającego piękna, które nawet zgruba strugany stół Jana Henryka Fabre’a lub prymitywne instru-

menty Faraday'a czy niezgrabne przybory Galileusza podnosi do rzędu utworów cenniejszych, bliższych i miłszych, niż niektóre wirtuozowskie lecz bezduszne dzieła sztuki.

Jakże wynaturzona jest myśl, która nas poucza, że od chwili wyprodukowania narzędzia człowiek oddalił się od natury i popełnił „grzech intelektu“. Jednakże mało jest rzeczy, któreby tak umiały związać z naturą, jak to potrafi narzędzie, którego wzór człowiek wziął z natury, odmienił je, kładąc nań piętno swego ducha i dostosował do swej pracy. Nie daremnie też ludy wszelkich epok czuły potrzebę zdobienia przedmiotu, z którym wiązała ich serdeczna zażyłość; narzędzie, broń, sprzęty, łódź i wóz, pług i chałta, — wszystkie te „wytwory techniki“ wzbogacano artystycznym ornamentem lub wizerunkami, by temsamem nie wdzięczności i zadowolenie zadzierzgnąć ściślej i snuć wspomnienia niezliczonych przeżyć pracy — bądź radosnych, bądź ciężkich — barwniej, żywiej, trwalej.

Jak niegdyś narzędzie i maszyna stały się dla człowieka pełne znaczenia dzięki sensowi pracy, którą wykonywały, tak teraz zkolei jego stosunek do nich osiągnie formę, którą on sam im nadaje. Ponieważ większość celów pracy oraz zawodów stała się dziś dla człowieka problematyczna, ponieważ rzadko, jakby w drodze wyjątku, zna on czynności, których wykonywanie napełniałoby mu duszę najgłębszą radością, przeto wszelkie środki, którymi się przy tej pracy posługuje, musiały nabrać charakteru częściej pustki i bezdusznego ubóstwa. Póki technika dawała się pawodować częściowo pojęciami czystej celowości, częściowo naśladowaniem nieorganicznem wzorów wcześniejszych stylów, póty jej wytwory były odbiciem tej postawy duchowej. Maszyny mieszkalne i meble celowe (gdybyż przynajmniej zawsze były celowe!) mogła wymyślić tylko epoka, dla której również życie stało się zaspokojeniem potrzeb zmysłowych i czysto utylitarnych celów — podobnie jak gazownie w kształcie zamków rycerskich i dworce w formie greckich świątyń mogły być zbudowane jedynie przez epokę, która całkowicie zatraciła poczucie organicznego wzbogacania i stylowej odrębności. Nie mamy tu do czynienia ani z zewnętrzną walką przeciwko maszynie, ani z bezpłodnym romantyzmem stylu. Jedynie wszechstronne odrodzenie duszy, odkrycie nowych źródeł działania i przeżyć zdoła doprowadzić do pogłębionego stosunku między naturą i człowiekiem, pracą i narzędziem, a przez to dadzą się okiełznać wspomniane wybryki i pozwoli się uduchowić technika.

Im bardziej technika służy pracy nad odrodzeniem duchowem i ochronie wartościowych sił, tem więcej zagrzewają ją do własnego działania nowe, pomnożone i wzbogacone bodźce płynące z życia. Jakby w podzięcie za pomoc, jakiej praca doznaje od techniki, z pogłębionego zrozumienia dla istoty wszelkiej pracy, zwłaszcza pionierskiej, a także warunków jej rozwoju, zakwita miłość dla sił wynalazczych, a również dla duchowego charakteru samego tworzenia. W pracy wynalazcy nie będą ludzie więcej dopatrywać się podejrzliwie wroga, który zakłóci im spokój, dokona przewrotu w uświęconych zdawna sposobach pracy i życia, który zagraża ich dotychczasowym zawodom i źródłom zarobku—jak to często miało miejsce w przeszłości, a nawet i teraźniejszości, lecz dostrzegą pomocnika i oswobodziciela. Zapewne i wynalazca wytknie nowe cele swej twórczości: we wzrastającej liczbie genjusz wynalazczy przyjdzie z pomocą w rozwiązywaniu takich zadań, które są najważniejsze dla duchowego wzbogacenia i udoskonalenia ogółu. Nie będzie odtąd dar wynalazczy wydany na żer zwykłej chęci zysku, bądź przypadku i wyzyskujących grup gospodarczych: sumienie, dla którego ochrona i oswobodzenie wszelkich budujących instynktów stało się najgłębszem przykazaniem, nie zniesie zarówno takiego nadużycia siły wynalazczej, jak i jej owoców.

I tu również musi na miejsce władzy szczupłej grupy i egoistycznej swawoli jednostki wystąpić na żądanie społeczeństwa zorganizowanie sił ku wyższemu celowi. Nic nie jest samo w sobie cenne i święte, nawet indywiduum i jego swoboda; tylko tam, gdzie działa ona dla dobra ogółu, może sobie rościć prawo do ochrony. Siła wynalazcza, która służy egoistycznym celom jednostki czy jakiejś grupy, bądź dobrowolnie bądź z przymusu, jest niebezpieczna: burzy ona podstawy życia społecznego. Jakże potrzebne jest tu rozpoznanie już we wczesnem dzieciństwie cennych zdolności wynalazczych, danie im poza materialnem zabezpieczeniem szczególnie troskliwego kształcenia nie tylko talentu, lecz ich sumienia, ich impulsów woli, aby wszystkie swe siły według możliwości skupiły na tem, czego żąda ogół. Należy też uchronić je przed niebezpieczeństwem owego zasklepienia i duchowego zmarnienia, które tak często grozi technicznym talentom i które przez jednostronność dzisiejszych warunków tak fatalnie wzrasta. Wszakże również bardzo specjalne zdolności mogą się pomyślnie i trwale rozwijać tylko na podstawie ogólnej duchowej harmonji. Jest to zadaniem psychologii i wychowania troszczyć się w myśl nowego sumienia o to, by takie talenty orjentowały się we własnych szczególnych trudnościach i środkach ich zwal-

czania, w ważności ciągłego doskonalenia przeżyć i twórczości również i w innych kierunkach, niż idą główne techniczne uzdolnienia ¹⁾).

Człowiek niedoświadczony zbyt łatwo dostrzega przedewszystkiem praktyczne wyniki, podziwia wszystkich tych, którym takie wynalazki się udały — są oni dla niego pionierskimi postaciami techniki. W rzeczywistości jednak każde specjalne i praktycznie doniosłe odkrycie wspiera się na podwalinach, które położyły badania twórców często o wiele mniej znanych, lecz bez porównania głębszych. Bez Faraday'a, wielkiego angielskiego fizyka, bez podstawowych eksperymentów i badań istoty elektryczności, podjętych bez żadnego „praktycznego“ zamiaru, większość wynalazków Edisona, Marconiego i wielu innych o zdolnościach bardziej jednostronnych, cały niezmierny świat elektrycznego przemysłu i cała dziedzina dzisiejszego radja byłyby niepodobieństwem.

Praca każdego z tych ludzi, których ogół najczęściej zna tylko z nazwiska, dostarczyła milionom bogatych możliwości pracy, powołała do życia niezliczoną ilość zawodów, stworzyła miliardowe wartości. I tak dla wielu, którzy obeznani są z wynalazkami nowoczesnej chemji i fizyki, Robert Mayer jest postacią niemal nieznaną. A przecież jego to genialne odkrycie (już przez Carnot'a przygotowane) — prawo zachowania energii — umożliwiło dopiero wielki przewrót w ogólnej dziedzinie nowoczesnej techniki. Wyjątkowy talent, lecz bardziej jednostronny, na węższą miarę zakrojony, tylko tam może się rozwijać, gdzie jakiś wielostronniejszy genjusz - pionier przygotował mu grunt, otworzył mu nowe dziedziny. Należy to dotychczas do tragizmu wielkich ludzi na polu badań i techniki, że uskutecznienie, bardziej ciasne, ale też bardziej uchwytne dla zmysłów, jednocześnie sensacyjniejsze, jest wyżej cenione i jedynie znane większości, chociaż dla ogółu mniejszą ma wartość, niż praca cicha, lecz niedostępniejsza i nie dająca natychmiast w skutkach praktycznych wyników, praca odkrywców nowych wielkich praw natury.

Praca ta czerpie swe potężne impulsy z rozległych obrazów i przeczuć religijnego i artystycznego światopoglądu. Estetyczne i religijne pragnienie,

¹⁾ Anglja, która żądaniom specjalizacji mniejszą niż inne państwa przemysłowe złożyła ofiarę z tradycyjnego ideału harmonijnego kształcenia, dziś także każe młodym inżynierom, zanim zabiorą się do swych studjów specjalnych, słuchać w szkołach inżynierji przez rok do dwóch lat wykładów o charakterze ogólnokształcącym. Niewątpliwie wzrasta izolacja techniki w kulturze, a także niebezpieczeństwo, że przekroczy ona zakres jej ramy, jeśli przedstawiciele techniki przez zbyt wąską specjalizację tracą łączność z zadaniami kultury ogólnej.

Przeto powszechna orjentacja, zwłaszcza w historii kultury, i wielostronna wiedza psychologiczna musi być postulatem wykształcenia w zawodach technicznych.

by w widzianym świecie poznać i czcić harmonję najwyższej Istoty, cudowną jedność jej dzieła — ono to, oprócz chęci poznania, parło Kopernika, Keplera, Newtona do naukowego badania gwiazd. Religijne skupienie i miłość ożywiały twórczość największych badaczy wszelkich czasów: Faraday'a, Roberta Mayera, Darwina. Tak nieprzerwany strumień łączy pozornie dalekie życiowo, ku wieczności zwrócone przeczucia i poetyckie wizje człowieka ze zdobyczami wynalazku i techniki, które służą praktycznym wymaganiom życia.

Nowe wychowanie musi w daleko większej mierze niż dotąd starać się uświadomić dzieciom ten związek, uzmysłowić na licznych przykładach doniosłe znaczenie owej pracy, której nie nagliło oczekiwanie uchwytnych wyników, lecz co w trudach całego życia szukała ukrytych praw natury i uprawiała pole, na którym zastępy uzdolnionych odkrywców, wynalazców, techników i organizatorów mogą dzisiaj siać i zbierać. Jednocześnie pod wpływem tego zapatrywania musi zniknąć ten fatalny podział na pracę „umysłową“ i „fizyczną“, który w całych klasach i grupach zawodowych wytwarza poczucie niższości i temsamem przyczynia się do sztucznego pogłębienia przepaści między stanami. Jak niema żadnej pracy tylko „umysłowej“, tak również nie istnieje żadna praca wyłącznie „fizyczna“. Zawsze, bodaj nawet w najniepozorniejszej pracy ręcznej, jest koniec końców praca głowy, systemu nerwowego, charakteru, wytrwałości, pojętności, inteligencji, które decydują o jakości pracy. Czynność najprostszego robotnika jest przeto spokrewniona z uduchowioną czynnością twórcy; im bardziej jest ona na usługach społeczeństwa, któremu przyświecają wielkie duchowe cele, tem więcej się uszlachetnia.

3

Tak jak dopiero współpraca wszystkich tych sił zdołała wytworzyć cud techniki, tak i sama maszyna tylko przy takim naszym zapatrywaniu zdobędzie nowe, pełne duchowego wyrazu oblicze. Gdy z coraz nowym podziwem oglądamy cudowną precyzję i niezawodność technicznego arcydzieła w tak zrozumiałem, a jednak zdumiewajacem współdziałaniu wszystkich jego części — wtedy przypominamy sobie częściej niż dotąd badacza, wynalazcę i konstruktora, dzięki których trudom, niejednokrotnie wieki trwającym, ciągle ponawianym, udało się wreszcie to dzieło.

Oto z cichego warczenia potężnej dynam maszyny spływa ku nam do brotliwa, pełna cierpienia, jakby owiana dalekiem marzeniem twarz Michała Faradaya, skromna, pełna myśli postać Hertza, poważne, jasne oblicze Volty, a wokół tych wzniosłych osobistości gromadzą się niezliczone rzesze

nieznanych, którzy szli za myślą wielkich, jej doniosłość pojmowali i wśród ofiar i poświęcenia wprowadzali w czyn to, co im mistrzowie ich ducha wskazywali jako cel ogromny. Czujemy się jakby bliżsi tych pionierów i jakimś tajemniczym węzłem z nimi związani; promieniowanie ich ducha, ich bohaterkiej woli przenika naszą duszę, potężniej jeszcze, bardziej rozświecająco i odnawiająco działając, niż czarodziejskie moce, które wydarli oni naturze i poskromione oddali ludziom na usługi.

W kimż widok skierowanego samotnie ku nocnemu niebu teleskopu nie wzbudziłby uczucia głębokiego szacunku dla ducha, który tu ludzkiemu oku pożyczył skrzydeł, by mógł on przeniknąć w zakryte, nieprzeczone dale? Galileusza twarz, jakby tchnieniem wieczności owiana, spogląda ku nam; staje przed nami jego ciężkie samotne zmaganie się i głębiej przenika nas uczucie wdzięcznej radości. Powstają z martwych i kroczą ku nam ci wszyscy, których poznanie, dzięki pomocy podobnych instrumentów, sięgnęło tajemniczych obrębów ugwieżdżonego nieba: Kepler, Newton, Herschel... Wtedy zamknięta kopuła przestrzeń nowoczesnego obserwatorium staje się dla nas cudownym przybytkiem, uświęconym przez dusze odważnych badaczy i myślicieli; z nimi patrzymy na błyszczące niebieskie łąki i czujemy ich bliskość, gdy pochyleni oglądamy obrazy gwiazd, w których kamera utrwalała wizje teleskopu.

Gdzież jest tu „bezduszna“ technika, któżby się ważył karcić ludzkiego ducha lub obwiniać go o zwyrodnienie — jego, który dzięki istnieniu swej siły wynalazczej może nawet najbiedniejszemu człowiekowi dać na własność takie skarby i odczucie bliskości twórcy? Spoglądasz przez cudowny kryształ mikroskopu i w mgnieniu oka przenosisz się w nieznaną, niezmierzoną dziedzinę życia, objawia ci się cud komórki roślinnej, pyłek na skrzydłach motyla, piękno barw jakiegoś nikłego odłamka minerału ²⁾.

Tak z ponad drobnych przyrządów codziennych, któremi nas obdarzyła technika, z ponad olbrzymich prac powstają sylwetki wielkich pionierów i nieprzejrzane zastępy ich pomocników, konstruktorów, robotników. Przeczujemy te ogromne strumienie energii ducha, które zdołały energję natury zgromadzić i użyć do nowych prac. Patrzymy na nierozzerwalną jedność ducha i materji, duszy, która kształtuje, i formy, co jej służy. I już nie jest dla nas obcem ciałem wytwór, to dzieło ducha wynalazcy, lecz częścią nas samych, członkiem naszego ciała i naszej duszy. Podobnie jak możemy się posługiwać naszymi członkami dla naszego dobra lub na naszą zgubę, tak też

²⁾ Tym przeżyciom w związku z nowym religijnym odczuwaniem Holzapfel dał niejednokrotnie wyraz. Porównaj *Welterlebnis*, I, str. 32, dalej II, str. 385.

narzędzie techniki jest nam wydane na pomyślność lub zagładę. Tylko nasze zrozumienie, nasze sumienie mogą nas skierować na właściwą drogę.

Może w przyszłości będzie w zwyczaju ludzi w pewnych dniach roku — jak to dziś czynią, wspominając swych wielkich poetów, artystów i wychowawców — odmalowywać w słowach mocnych a subtelnych postać któregoś z wielkich pionierów techniki, uprzytomniać, jakie, często o tem nie wiedząc, zawdzięcza mu się dobrodziejstwa, jego życie, twórczość, zmagania się przedstawiać w pełnych intuicji obrazach. Bynajmniej nie w formie „oficjalnego“ hołdu, ani z „obowiązku“, lecz z głębokiej spontanicznej wdzięczności, z przeświadczenia, jak mało dotąd zrozumiana była twórczość tych ludzi i ich znaczenie dla ogółu. Uczmy się poznawać i tych późniejszych następców, którzy byli współbudowniczymi w ich wielkiem dziele wynalazku. Widzimy ich wszystkich, synów różnojęzycznych krajów, zjednoczonych wspólnotą duchową, ich, którzy się często nie znali, którzy o skończeniu późniejszym ich dzieła całego życia nie wiedzieli, a którzy przecież, jedną i tą samą myślą przejęci, działali bez wytchnienia, badali, ufni, że ich trud niebezpiekteczny, że są członkami niewidzialnego, a przecież zmieniającego ludy i odradzającego ziemię, bractwa.

PAUL CLAUDEL

B A L L A D A

*Kupców z Tyru i tych, co w gonitwie za swemi sprawami płyną dzisiaj przez
morza w mechanicznych wielkich dziwolągach,
Tych którym na pożegnanie skrzydłami mewy chusteczka jeszcze powiewa,
choć trzymająca ją ręka w dal już schowała się blade,
Tych, którym pola uprawne i winnice nie wystarczały — bo pana Ameryka
zaczęła nagle pociągać,*

*I tych, którzy wyjechali na zawsze i z powrotem nigdy nie przyjadą, —
Wszystkich tych pożeraczy przestrzeni teraz morze tylko sobą częstuje...
Pomyśl: będąż go mieli dosyta?*

*Kto raz wargi przytknął do czary, ten się długo odepchnąć ją wzdraga...
Trudno będzie spełnić kielich do dna, lecz z ochotą w chciwe swe dłonie ten
pełny kielich się chwytą
I tylko pierwszy łyk trudu wymaga.*

*Sprzęt bojowy storpedowych okrętów, co może kiedyś później w statysty-
kach skrzętnych zastyna,
Załogi pancerników, które pionem stalowym jedna w dno potrafi wbić chwila,
Patrolujący na brzegach zżarci gruźlicą rybacy, obsługi łodzi podwodnych,
które już nigdy więcej z głębokości morza nie wypłyną,
Wszystko to, co statek beładnie wyładowuje jak transport, gdy kil jego
z wody się wychyla, —*

*Wszystko tutaj ma swe miejsce przeznaczeń: — oto po sam widnokrąg wo-
koło się rozpościera
Morze, blisko podpływające. I nie trzeba wcale w niem szukać szlaków zwi-
kłych i złudnych —*

*Wystarczy tylko usta jaknajszerzej otworzyć i nie bronić się, gdy woda
napiera:*

Tylko pierwszy łyk jest zawsze trudny.

*Co mówili ostatniej nocy podróżni, uwięzieni na statkach transatlantycznych—
Tej nocy, która nadeszła po dniu ostatnim, gdy radjo rozniosło po świecie
krótki, nagły krzyk: „Okręt toniel”*

*Gdy wychodźcom pod pokładami w kajutach trzeciej klasy zachciało się
biadolenia muzyczki*

*I gdy się morze bez przerwy wlewało i wylewało z pomiędzy kanap w salonie?
„Nie warto rzeczom, nieodwołalnie straconym, nawet westchnienia poświęcić!
Ktoby pragnął na nowo żyć, skoro wie, że się życie skończyło i gdyby miało
wrócić — wróciłoby chyba cudem?*

*Dobrzeby było odzyskać to, co się kocha. Lecz lepiej, stokroć lepiej zanurzyć
się w niepamięci:*

To tylko pierwszy łyk przychodzi z trudem“.

PRZESŁANIE

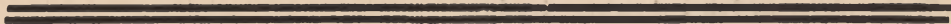
*Morze wszędzie, morze dookoła! To opada, to znów się spiętrza.
Dość tych dni, podobnych do siebie, jak krople wody! Tych drzeń, które
czuje się wciąż w sercu, że aż boli!*

*Nic — tylko morze wieczne i tylko zawsze ono, nawet gdy nagły wstrząs
rozdziiera wzburzoną toń i spycha nas do wnętrza!*

Tylko przy pierwszym łyku trzeba woli.

Przełożył

ROMAN KOŁONIECKI



JERZY ANDRZEJEWSKI

K Ł A M S T W A

FRAGMENTY OPOWIADANIA

Było to ubiegłego roku, w początkach marca. Wiosna zaczęła się wcześniej. Dni były pogodne i ciepłe.

W taki czas trudno pracować. Słońce od samego rana wypłasza z domu na ulicę i człowiek, naprzekór zdrowemu rozsądkowi, w kąt ciskając wszystkie obowiązki, godzinami wałęsa się po mieście. I nieraz, gdy się tak bez określonego celu idzie słońcem zalaną ulicą, gdy czuje się na twarzy, na dłoniach, na całym ciele ciepły wiatr, a wysoko ponad domami leży jasne niebo — ogarnia cię nagle taka wesołość, że wszystko w tobie aż rwie się i krzyczy z nadmiaru radości. Śpiewasz więc bezgłośnie i bełkoczesz jakieś słowa fantastyczne, uśmieciesz się do nieznajomych i nadziwić się nie możesz, że wszystko dokoła — ludzie, domy, sklepy, tramwaje, auta, drzewa — wczoraj smutne i przytłaczające codzienną szarością, dzisiaj rozkwitło niespodziewanie, ukazując świat, którego piękna nawet nie przeczuwałeś.

W taki wiosenny dzień, w odległej części Łazienek, poznałem Mojka. Siedziałem w bocznej, mało uczęszczanej alejce, kiedy podszedł i spytał, czy mogę mu dać na chwilę gazetę. Zamyślony, nie zorientowałem się o co chodzi. Gazetę? Jaką gazetę? Schylił się i uczynił ruch w kierunku mojej kieszeni. Przypomniałem sobie wtedy, że wychodząc z domu kupiłem gazetę i włożyłem do płaszcza. Dałem ją. Podziękował i usiadł obok.

Młody i zaniedbany, trzymał się i poruszał w taki sposób, że nie nędznym ubraniem rzucał się w oczy, lecz obcością. Mimo wyraźnych na twarzy śladów nędzy wydawał się piękny. Ale jego uroda miała coś złego. Gdy prosił o gazetę, patrzył martwemi, jakby szkłem ściętymi oczami. Nie były to jednak oczy zagasłe. Żył ukrytym ogniem, który zaledwie wyczuwało się pod ich chłodnym matem. Pamiętam, że kilka błahych słów wypowie-

dział głuchym i obojętnym głosem człowieka, myślącego o czymś innym. A przecież, nazewnątrz bezbarwny i wyprany z życia, uderzał nieuchwytną drapieżnością, jakby nosił w sobie jakąś sprawę mściwą i bolesną.

Wiem, że gdyby mnie minął i poszedł dalej, pomyślałbym: jaki biedny człowiek! Ale gdy „biedny człowiek“ znalazł się blisko — zagrażał i niepokoił. Nie po raz pierwszy miałem sposobność przekonać się na własnej skórze, że ludzi dopóty wzrusza obce cierpienie, dopóki potrafią czuć się bezpieczni. Z chwilą zaś gdy cudzy ból narzuca się bezpośrednio — ogarnia nas niechęć, że zaraz nas o coś poproszą, czegoś zażądata, a przecież — tłumaczymy się — i tak nic tutaj nie możemy pomóc. I choć nieraz czujemy, że powinniśmy sami dać i pomóc, już zawczasu usprawiedliwiamy się, aby odsunąć od siebie obowiązek. Bo do czegoż człowiek jest powołany i przeznaczony, jeśli nie do ofiarowywania i ciągłego przewycięzania duchowej łatwizny? Ale życie jest przeciw nam. Życie w społeczeństwie, w ramach ustalonych norm, nietylko pozwala, ale dopomaga uciekać przed wewnętrznym nakazem. I wszyscy szukamy bezpieczeństwa.

Ogarniał mnie coraz gorszy nastrój. Odwrócony od Mojka bokiem, starałem się nie patrzeć w jego stronę, aby choć w ten sposób dać mu poznać, że jest intruzem.

Siedzieliśmy tak dość długo. Dopiero niespodziewany śmiech wytrącił mnie z rezerwy. Mimowoli odwróciłem się. Nie przestając się śmiać, podsunął mi gazetę.

— Niech pan przeczyta — robił wrażenie nieprzytomnego — niech pan koniecznie przeczyta, tutaj, na dole...

Wskazał odpowiednie miejsce.

Była to notatka z działu wypadków bieżących, donosząca, że wczoraj, w godzinach wieczorowych, zaślął nagle na ulicy Kruczej niejaki Feliks Front, urzędnik Zakładów Włókienniczych „Pec i S-ka“, lat 59. Wezwany lekarz Pogotowia stwierdził zgon.

— I to pana tak bawi — burknąłem. — Niema chyba nic śmiesznego w śmierci tego Fronta...

— Nic śmiesznego? Pan powiada, że nic śmiesznego? Ależ to niesłychanie śmieszna historia. Mówię panu, że śmieszna.

— Feliks Front... — czytał urywanym głosem. — Lat pięćdziesiąt dziewięć. Dobrze się szelma trzymał! No i to, niech pan zwróci uwagę: urzędnik Zakładów Włókienniczych „Pec i S-ka“.

Odsunął gazetę i powtórzył wolno:

— Pec i Spółka...

Już się nie śmiał. Odgarnął z czoła niesfornie spadające włosy i wyprostował się.

— Bo widzi pan — zaczął niespodziewanie innym tonem — może wyda się panu nieco dziwne, ale ja naprawdę mam powody do śmiechu. Ważne powody. Jestem, jakby to panu powiedzieć... jestem człowiekiem, który raduje się wolnością. Tak, proszę pana, wolnością. To znaczy, że mogę chodzić, gdzie mi się podoba i kiedy mi się podoba. Teraz na przykład mogę sobie siedzieć na tej ławce i rozmawiać z panem. Chcę, to zostanę tutaj choćby do jutrzejszego rana, chociaż nie, co ja mówię, przed zachodem słońca wyproszą grzecznie. No, ale to głupstwo. To nie jest to, co tam. Bo trzeba panu wiedzieć, że ja od bardzo niedawna chodzę sobie tak spokojnie. W ubiegłym tygodniu wypuścili mnie...

Milczałem. Więc Mojk dalej, że siedział w więzieniu.

— Nic wielkiego — pocieszył mnie.

Brał udział w pochodzie bezrobotnych i podczas awantur przed Magistratem wpadł w ręce policji. Zupełnie przypadkowo. Z całą „heca“ nie miał nic wspólnego. Ma ich wszyskich gdzieś. I bezrobotnych, i magistrat, i policję również.

— Wogóle wszystko gówno — stwierdził.

Czułem się coraz bardziej skrępowany. Zbyt wiele mi Mojk powiedział, abym swego milczenia nie odczuł przykro. A było to wszystko jednocześnie zbyt niespodziewane, abym mógł szczerze przezwyciężyć przymus, kiedy spytałem, czy długo siedział w więzieniu?

Wyjaśnił lekceważąco, że niedługo.

— Półtora miesiąca. Bagatela, prawda? Przydałoby się półtora roku. Bo czyż nie wszystko jedno?

Spojrzał w taki, wydało mi się, sposób, jakby czegoś spodziewał się po mnie. Załowałem, że nie odszedłem wcześniej. Teraz było zapóźno. Czasem trudno nie zadawać człowiekowi pytań, gdy było się niebaczny i zadało się jedno. Spytałem więc, co teraz robi?

— Teraz? Nic. Chodzę. Śpię. Mam co jeść, to jem, poza tem nic... Zanim dostałem się do paki, miałem mieszkanie, pod psem coprawda, ale jaki taki kąt był, teraz zajął go kto inny. Ale czy to nie wszystko jedno? Jest wolne miejsce, to śpię u Albertynów, albo w Cyrku, niema — to w Alejach na ławce, pod mostami...

Nie mogłem tego spokojnie słuchać.

— I nie stara się pan o jakąś pracę? W pańskim wieku? Można tak żyć miesiąc, dwa, trzy, ale dalej, co dalej?

Usiłowałem przetłumaczyć temu człowiekowi, że powinien się otrząsnąć z apatii, że tak nie można.

— Co dalej? — powtarzałem z rosnącym przejęciem.

Siedział z głową opartą o poręcz. Miał opuszczone powieki, zdawał się drzemać. Dokoła była cisza. Nagle, jakby dopiero teraz dobiegły go moje słowa, zwrócił się ku mnie ociężale:

— Dalej? — powiedział wolno drewnianym, obcym głosem. — Przecież dalej zawsze jest to samo...

Później, gdy poznałem dzieje Mojka, zrozumiałem, jak niedorzecznie musiało zabrzmieć moje pytanie. A jednak były to jedyne słowa, jakie mogłem przeciwstawić jego słowom. W każdym człowieku równie silne, jak troska o bezpieczeństwo, jest płynące z niej pragnienie utrzymania i zachowania pewnych stałych norm rzeczywistości. Spotykając się z ich zaprzeczeniem, widząc, że to co dla nas jest ważne i starannie uzasadniane zostało życiem drugiego człowieka przekreślone, czujemy się zagrożeni w najistotniejszym prawie równowagi. I wszystko się w nas lekliwie i bezradnie buntuje, że mogą istnieć sprawy, które doprowadzają poza ów — jak się wyraził Mojka — *k r e s w i d z i a l n o ś c i* i że wówczas, prócz śmierci, nic już dalej nie istnieje.

Mojka musiał zrozumieć, dlaczego tak natarczywie i, zdawałoby się, z troską o niego pytałem — co dalej?

Odchodząc, powiedział:

— Teraz, kiedy pan już wszystko wie, ja pana zapytam, co dalej?

Milczałem. Chciałem tylko jednego: żeby odszedł. I kiedy widziałem go idącego wgłąb długiej alei, gdy zniknął wreszcie poza łagodnymi smugami drzew — wtedy całe jego opowiadanie wydało mi się, jak ciężki sen, nierzeczywiste. — — —

Może chciał usprawiedliwić swoje zwierzenia, a może zbagatelizować ich ważność? Zaczął ze sztucznym lekceważeniem. Mówił, że zdarzenie, o którym opowie, było głupie.

— Głupie i śmieszne, — powtórzył z grymasem — niema co gadać! Zaczęło się przedewszystkiem głupio. Chociaż, któż może wiedzieć, czy to był naprawdę początek. Może właśnie koniec. Zastanawiał się pan, jak mało wiemy, kiedy się coś zaczyna, a kiedy kończy? Lata całe przygotowują człowieka do jakiejś sprawy, a gdy się wreszcie stanie, sądzimy, zapominając o wszystkim poprzednim, że ona jedna zaważyła na naszym życiu. Tak jeszcze myślałem tam, w więzieniu. Chciało mi się chwilami płakać ze wściekłości. Teraz, to już przeszło. Na co to się zda? Poco? Dla życia nic się nie zmienia, chyba...

Umilkł. Ciemne włosy zsunęły mu się aż na ściągnięte brwi. Sniada i szczupła twarz stężała w zaciętości. Pochłonęła go widać jedna myśl, jedna możliwość. O wiele później zrozumiałem, jaka. Czyż mogłem się domyślić, że właśnie ona miała się stać dla niego ostatecznym.

Nie ruszając się, mruknął niewyraźnie:

— O czym to ja mówiłem...

Podniósł głowę i spojrzał nieprzytomnymi oczami.

— Aha! że ten Front... Nie myślałem wtedy, że stanie się to dla mnie taką właśnie j a k ą ś s p r a w ą. Było to w połowie stycznia, w przeddzień awantur przed Magistratem. Może słyszał pan o nich, dużo się wtedy o tem rozpisywano. Jaka głupota to wszystko, jaka straszna głupota! Czyja, chce pan wiedzieć? Moja, tylko moja... Stałem obok Fronta i nie mogłem zdecydować, co z sobą zrobić. Najchętniej pożegnałbym się i odszedł. Bo, po diabła — myślałem — miałem na środku podwórka fabrycznego stać i moknąć? Ale po tem co zaszło niezręcznie było ułatwiać się bez słowa. To tak jak naprzykład pan teraz. Panu też nie wypada odejść, choćby i chciał pan. Nie mam racji? Milczy pan, więc przyznaje pan słuszość. Ano tak. To zupełnie dziwaczne, a jednak coś nieokreślonego zmusza czasem do uczestniczenia w sytuacjach, z których wolelibyśmy się jaknajszybciej wymknąć. Więc i mnie, czułem to wtedy, wypadało powiedzieć cokolwiek, kilka słów przynajmniej. Gdyby chodziło o kogo innego, nie o Fronta, wiem dobrze, że nie zawahałbym się ani sekundy i poszedłbym sobie. Ale wobec Fronta... Bo niech pan zrozumie: kiedy dowiedziałem się, że nie Front, lecz ja obejmę od pierwszego posadę, stosunek mój do starego uległ zupełnej zmianie. Przedtem mieliśmy takie same możliwości, choć inna już rzecz, że poczucie przewagi nigdy mnie nie opuszczało. Moja wyższość nad Frontem, to była moja młodość. I jak co do czego przyszło, okazało się, że ostatnie miesiące nie zjadły jej, jak przedtem myślałem czasami. Bez zarozumiałości mogłem sobie powiedzieć, że dobrze pracuję. Moja robota biegła szybko. Umiałem jeszcze pracować. A praca Fronta była taka, jak i on: chłodna, opanowana, równie dokładna, jak bezduszna. I być może dzięki odmienności naszych usposobień z iluś tam, nie pamiętam z ilu kandydatów na posadę buchaltera w Zakładach Peca już po pierwszym tygodniu pozostawiono do dalszej eliminacji nas dwóch: mnie i Fronta. Jeden z nas miał dostać posadę. Ani na chwilę nie wątpiłem, że zwyciężę. Ale nerwy to trzeba było mieć jak postronki. Co to była za orka! Wiedziałem przecież, że najdrobniejsze niedbalstwo z mojej strony nietylko m o ż e spowodować, lecz napewno spowoduje katastrofę. Chwila nieuwagi, jeden błahy

błąd natychmiast przechyliłby zwycięstwo na stronę Fronta, który, o tem dobrze wiedziałem, napewno nie omyliłby się, na sekundę nawet nie dałby się wytrącić ze swego, na wszystko co się działo nazewnątrz głuchego spokoju. I wie pan, były w ciągu długich godzin biurowych chwile, kiedy mnie wszyscy djabli brali. Obecność milczącego i z równością maszyny pracującego Fronta jak nie wiem co załaziła mi za skórę. Chociaż w ciągu kilkunastu dni spędzonych w jednym pokoju i przy jednym biurku zamieniliśmy ze sobą kilka słów zaledwie, tyle tylko ile było konieczne, instynktem wyzuwałem w starym zaciętą wrogość. Był nią naszpikowany. I ta nieprzyjazność, obecna w całej postaci Fronta, w pochyleniu jego stożkowatej głowy i skuleniu szpiczastych ramion, rozsnuta w ruchach oszczędnych i ujednolastajniowanych, udzielała się mnie skolei, wzbierała we mnie podskórnie do czegoś tak wprost fizycznie bolesnego, że tylko świadomość katastrofalnych następstw mogła mnie powstrzymać od wywołania najordynarniejszej i najbezsensowniejszej pod słońcem awantury. W takich wypadkach jak ostatniej deski ratunku chwytalem się starości Fronta. I niech pan sobie wyobrazi, że śledząc ukradkiem obwisłe, nieco nabrzmiałe policzki przeciwnika, jego cienką flakowatą szyję, wyblakłe, siecią zmarszczek oplątane oczy, znajdowałem pociechę we własnej młodości — że jestem dobrze zbudowany i mam nienajgorzej wyrobione mięśnie, ba! — co tu nawet było porównywać? Po rozmowie z personalnym dyrektorem Zakładów, Meyerem, poczucie przewagi umocniło się we mnie. Tryumfowałem. Pan rozumie, co to znaczy po wielu miesiącach nędzy dostać stałą posadę z nienajgorszą płacą? Rozpierała mnie radość. Gdy wracałem na górę, chciało mi się na cały głos wykrzyknąć szczęście. Zamierzałem odrazu wszystko Frontowi powiedzieć. Ale już na schodach zmieniłem postanowienie. Nie — powiedziałem sobie — nie będę własnorecznie dobijać tego pryka. Należałoby mu się, co prawda, zapłata za wszystkie chwile mojej bezsilnej złości, ale niech go tam...! Powodzenie zachęca do taniej wspaniałomyślności. Zanim więc otworzyłem drzwi do pokoju, przybrałem zwykły wyraz twarzy. Usiadłem przy biurku i zabrałem się do przerwanej roboty. Ale niech pan sobie wyobrazi, że ku własnemu zdziwieniu czułem się nieswojo. To był początek. Już wtedy coś mnie ugryzło. Miałem wrażenie, że siedzący naprzeciwko Front wszystko się domyśla. Po godzinie wrażenie zmieniło się w męczącą pewność. Pamiętam doskonale, że była chwila kiedy już, już chciałem wstać i powiedzieć: „Panie Front, sprawa przedstawia się tak a tak, trudno, rozumie pan, że obaj mieliśmy jednakowe szanse...” I kiedy po wyjściu z biura miało miejsce na podwórzu to niedorzeczne zdarzenie, naprawdę szczerze żałowałem, że w odpowiednim momencie nie postawiłem kwe-

stji jasno i dwuznacznej sytuacji nie wyjaśniłem odrazu. Czy ja wiem zresztą, czy to zmieniliby cokolwiek? Ciekawy jestem, zna pan takie sytuacje, w których nie można nawet słowa, jednego słowa powiedzieć? Dosłownie nic. Po raz pierwszy znalazłem się w podobnym położeniu. Przedtem zawsze wiedziałem co powiedzieć.

Mojk spojrzał bokiem i widząc, że go uważnie słucham, roześmiał się krótko:

— Nie mówiłem panu, że to głupia historia? I kto by pomyślał — uderzył dłonią po gazecie — że starowina nie żyje. Wie pan, że tę scenę pamiętam jak na dłoni, jakbym ją miał tu, przed sobą... Są takie chwile, co to latami chodzą za człowiekiem jak pies. Żeby pan wiedział, jak ten Front zabawnie wyglądał, kiedy nagle, na środku podwórka przewrócił się. Klapnął jak żaba, okrakiem przykucnął na kamieniach i tak siedział. Rozmaite papiery wysypały mu się z teczki, zbierał je drżącymi palcami, utyłł się oczywiście cały jak nieboskie stworzenie, z wyrudziałego paletka ściekała gliniasta woda. Przekonałem się wówczas, że zwyciężonego rywala lepiej nie oglądać w podobnym stanie. Zbyt głupie uczucie. Ale co było robić? Pomogłem pozbierać papiery, a potem, chcąc Frontowi ułatwić doprowadzenie się do porządku, odszedłem na bok. Nie przypuszczałem, że sprawa weźmie taki obrót. Pogwizdując, patrzyłem w kierunku fabrycznego muru. Pamiętam: był to chłodny i przejmujący dzień odwilży. Szare niebo, szare powietrze. Ponad murem czerniły się rozsnucone drobną pajęczyną drzewa. A dalej były domy, kominy fabryczne, wilgotne dachy, dymy... Minuta nie upłynęła, kiedy Front znalazł się obok i uprzedzając moje pytanie, bąknął niewyraźnie, że nic mu się nie stało, tak się tylko poślizgnął... Co mnie mogło obchodzić, dlaczego się poślizgnął, niech pan sam powie? Poradziłem mu oczyścić palto. Kiwnął tylko głową. Widać było, że ma coś do powiedzenia. I kiedy chciałem odejść, zaczął mnie prosić, abym nie dziwił się, że on się przewrócił, ale tak go jakoś zamroczyło, jakoś, uważa pan. Skarżył się, że od paru dni nie wie co się z nim dzieje — chodzi okołowacony, myśli z trudem zbiera, sam nawet nie rozumie, jak może w takich warunkach pracować... Powiadam panu, jakby go kto odmienił. Litość brała patrzeć. Zapytałem, co mu dolega. Myślałem, że chory, czy coś takiego. Okazało się, że nie. Więc co, do licha! — zniecierpliwiłem się. Można było stracić panowanie, patrząc na takie coś stare i trzęsące się. Wtedy opowiedział, że ma syna i że ten syn od roku choruje na płuca, a ostatnio bardzo mu się pogorszyło. Był z nim wczoraj u lekarza i lekarz zalecił natychmiastowy wyjazd, ale to tak, żeby ani dnia nie czekać i zaraz, pierwszym pociągiem wyjeżdżać... Pamiętam, jak Front stał przy mnie i powtarzał: „Sie-

demnaście lat ma, panie, siedemnaście lat, rozumie pan, co to znaczy mieć siedemnaście lat? Ale co ja mogę, tylko patrzeć i czekać...”

Ostatnie słowa wymówił Mojek cicho. Siedział ciężko pochyłony, patrzył w dół.

— Sądzi pan może, że pocieszałem Fronta? Ani mi się śniło. Nie mówiliśmy już o tem. Pierwszy powiedział, że trzeba będzie pójść do domu... Na ulicy, przed Zakładami i po drugiej stronie, koło warsztatów samochodowych Kiersztofa, pełno było ludzi. Były to dość gorące dni. Rano rozeszła się pogłoska, że Kiersztof zamknie budę, a robotnicy zostaną zwolnieni. Czwarta wielka plajta w jednym tygodniu, niech pan sobie wyobrazi. Pierwsza zawiesiła wypłaty cegielnia Haufmana na Ogrodowej, następnego dnia w dwóch przedsiębiorstwach włókienniczych wymówiono pracownikom. U Peca także szło nienajlepiej. Wpadliśmy z Frontem w sam środek tłumu. Wrzało tam jak w garnku z ukropem. Ktoś przemawiał. Nie wiem na co się wdrapał, ale na coś musiał wleźć, bo siedział prawie na głowach. Miał zdrowie! Padał deszcz, a on gestykulował i wrzeszczał, skręcał się cały jak na sprężynie. W tłumie rósł pomruk, na tyłach rozległy się krzyki. Przyznam się panu, że mało mnie to wszystko obchodziło. Przed miesiącem stałbym pewnie z innymi i czekałbym niewiadomo na co, krzyczałbym jak oni, tak jakby krzykiem można się było nasycić. Ale teraz? Spojrzałem na Fronta i wspomniałem o jutrzejszej demonstracji bezrobotnych. Ot tak, wie pan, żeby coś powiedzieć. Djabli go wiedzą, czy wogóle słyszał. Stał jak pień. Miałem już dość tej idjotycznej sytuacji, całego wiecowego rozgardjaszu a Fronta przede wszystkim. Teraz to naprawdę nie było sensu dłużej czekać. Przejeżdżał właśnie tramwaj, więc, nie namyślając się, przepchałem się przez tłum i wskoczyłem. Licho mnie skusiło, żeby się obejrzeć. Front stał ciągle w tłumie, zgarbiony, jak tyczka cienki, w wyrudziałem palcie, z pękatą teczką pod pachą. Patrzył w moją stronę. Wydało mi się, że uciekam, tak już byłem tem wszystkim ogłupiały. Miałem w głowie zupełny mętlik. Na pierwszym przystanku wysiadłem i postanowiłem wrócić do domu piechotą.

Dowiedziałem się, że od roku mieszkał Mojek kątem w nędznej klitce, odnajmowanej do spółki z kilkoma takimi samymi jak on bezrobotnymi, u pewnej wdowy po urzędniku Monopolu Spirytusowego, niejakiej pani Grzędziak.

— Wie pan, że ten cały dzień po rozstaniu się z Frontem, a właściwie popołudnie, tak jak je teraz pamiętam, wydaje mi się wprost bez końca. Zupełnie jak mroczna plama, wtłoczona w ciemność i chociaż odcinająca się od niej, jednocześnie z nią stopiona. W tem wszystkim był jakiś czad.

Odurzał, rozłaził się po kościach. Można było głowę stracić. I ja ją też straciłem... Wracając do domu, wstąpiłem na jedną czystą. Uśmiecha się pan? Nie, kochany panie, nie byłem pijakiem. Czasem coś wypić, to owszem, lubiłem. Wtedy naprzykład chęć na wódkę naszła mnie, gdy wysiadałem z tramwaju. Wziąłem jednak na rozsądek i powiedziałem sobie stanowczo, że nie. Ale im w gorszy wpadałem nastrój, tem silniej mnie kusiło. Co tam sobie żałować, dość sobie żałowałem. I niedaleko domu, pogodziwszy się ze stratą ostatniej dwuzłotówki, i tak jutro będą nowe — pocieszyłem się, wstąpiłem do baru. Byłem zmęczony, zresztą oddawna nie piłem wódki, więc zaraz po pierwszym kieliszku alkohol zaczął działać. Jakby kto ból odjął. Ponure myśli ustąpiły. Kiedy wypilem drugi i trzeci, cała sprawa z Frontem wydawała mi się śmieszna. Nie rozumiałem, że się podobnem głupstwem można przejąć. Tak nastrojony wyszedłem na ulicę. Później, gdy znalazłem się w domu, niezadowolenie powróciło. Wlazło we mnie i jak drzazga tkwiło. W mieszkaniu zastałem Alkiewicza i Inspektora. Alkiewicz jak zwykle drzemał, a Inspektor rozwalony na łóżku skręcał papierosa. Powitał mnie w swoim stylu, że jestem teraz wielka figura, pan buchalter. Moja posada nie dawała mu spokoju. Zresztą nie brał jej poważnie. Nie wierzył, abym mógł coś dostać. Kiedy wyprowadziłem go z błędu, ze zdumienia na łóżku usiadł. Myślał, że to kawał. Zrozumiał wreszcie, że to naprawdę. Boki można było zerwać, patrząc na jego minę. Miałem niezłą zabawę. I, przyznam się panu, ubodło mnie, że tak szybko przeszedł nad tem do porządku. Wyciągnął się na łóżku, ćmił papierosa i patrzył w sufit, jakby o mojej obecności zapomniał. Wiem, że udawał. Trzeba mu było tem samem odplacić. Czułem jednak taką potrzebę podzielenia się wrażeniami z kimkolwiek, niechby to był pierwszy z brzegu przechodzień z ulicy, że zacząłem, niepytany i nieproszony, opowiadać. Rozgadałem się nadobrze. Mówiłem, że ponieważ dostałem posadę, więc pierwsze, co zrobię, to wyprowadzę się stąd. Inspektor bąknął tylko: „Tak?“ No, oczywiście — ciągnąłem z zapałem. Przecież nie upadłem na głowę, aby gnić w tej dziurze. Wyprowadzę się i to jaknajprędzej. Stara? Głupstwo! Co stara może mieć do gadania, niech będzie zadowolona, jeśli dostanie kilka złotych. Ważne jest to — przekładałem Inspektorowi — że wyprowadzę się i wynajmę sobie pokój gdzieś przy rodzinie, choćby w tym samym domu, gdzie mieszkalem przed redukcją. Bardzo porządna rodzina, tanio, czysto, na pewno chętnie wezmą mnie spowrotem... Łgałem, przyznam się panu, bo z tamtego mieszkania wyleli mnie. Nie płaciłem, więc spoczątku grzecznie pytali „kiedy“? Odkładałem z tygodnia na tydzień, później z dnia na dzień, sprzykrzyło się im wreszcie. No, ale dla Inspektora to było nieważne. Ma-

jąc posadę mogłem tysiąc takich pokoiów znaleźć. Wszystko wydawało mi się łatwe. Siedziałem w mojem przekonaniu na życiu, jak na koniu. Myślałem, że tylko je mocno wziąć w cugle i pójdzie, jak przy muzyce. I poszło, psiakrew! Jeszcze jak poszło. Cała bieda, że człowiek zapóźno dowiaduje się o sobie prawdy... Jak nędznie zgrywałem się wtedy przed Inspektorem! Wyciągnąłem nogi i przymknąwszy oczy projektowałem, jak to po załatwieniu sprawy mieszkania wypadnie mi nawiązać kilka dawnych znajomości. Wspomniałem też o kąpielu. No niech pan sam powie, czy to nie cudowne wykapać się po tylu miesiącach mycia pod zlewem, zmyć z siebie wszystkie brudy, rzucić cuchnące szmaty, wejść do ciepłej wody... Ech!

Wyciągnął nogi. Słońce padało mu na twarz. Opowiadał dalej:

— Nie wszystkie, oczywiście, znajomości — mówiłem Inspektorowi — mam zamiar wznawiać, wielu z bliskich dawniej znajomych, kiedy powodziło mi się, nie poznawało mnie na ulicy, tylko niech djabli biorą, o nich nie myślę nawet. Ale jest kilka osób, które o mnie zawsze pamiętały i w miarę możliwości służyły pomocą. Coprawda i z tymi straciłem oddawna kontakt, ale sam tak chciałem. Uważałem, że tak będzie lepiej. Kiedy źle, to moją zasadą jest trzymać się zdaleka od ludzi, zwłaszcza od bliskich. Teraz sytuacja zmieniła się. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby wrócić do swojej paczki. Robiłem, co się tylko dało, aby dowieść Inspektorowi, że byłem przedtem zupełnie innym człowiekiem i gdyby mi kto przed rokiem powiedział, że będę prowadzić takie życie jak przez ostatnie miesiące, to bym go wziął za warjata... Długo gadałem, jak najęty. Musiałem to wszystko z siebie wyrzucić. Wreszcie przerwał mi Inspektor. Powiedział, że staję się sentymentalny. Oburzyłem się. Uważałem, że można mi było wiele zarzucić, ale sentymentalizm? Gdzież w tem, co powiedziałem, był sentymentalizm? Jeśli mówiłem, że dawniej inaczej żyłem, to nie dlatego, że bym się miał nad sobą roztkliwiać. Ot, tak sobie, jak o każdej innej sprawie. Podniosłem, zdaje się, głos, bo w kącie obudził się Alkiewicz. Inspektor milczał. Czułem się trochę głupio. Zacząłem już żałować, że na podobną zaczepkę wogóle zareagowałem. Przyszło mi do głowy, że na Inspektora mogło to zrobić wrażenie usprawiedliwiania się, tłumaczenia, czy ja wiem zresztą czego, coś tu było nie w porządku. I zaraz ogarnęły mnie wątpliwości, czy rzeczywiście nie usprawiedliwiałem się, i dalej: czy sposób, w jaki zareagowałem na idiotyczną historję z Frontem, nie pachniał czułości-kowością, słabością charakteru, albo, jak chciał Inspektor — sentymentalizmem? Teraz wiem, że miał rację. Trafił w samo sedno. Wtedy nie chciałem się do tego przyznać. Czułem, że w tem co powiedział jest mała cząsteczka prawdy, tak jednak mała, że się wogóle nie liczyła. Ale i to była

nieprawda. Zbyt mnie to obeszło. Byłem wściekły na siebie, że wygadałem się z temi wszystkimi projektami. Niech pan powie, co za lichy mnie skusiło, żeby się w podobnie głupi sposób wywnętrzać? Mydłek wyłazi z człowieka na każdym kroku. Spotka go drobna radość i zaraz musi się przed kimś wyrzygać. — — —

Wyobraziłem sobie chwilę, kiedy będę opuszczać „pensjonat“ Grzędziakowej. Przedtem jednak — zdecydowałem — muszę kupić nowe ubranie, koszulę, buty, koniecznie. Jutro jeszcze poproszę w biurze o zaliczkę, napewno wezmą pod uwagę moje położenie. Wszystkich tutaj, Grzędziakową i Inspektora w pierwszym rzędzie, djabli wezmą, gdy mnie zobaczą w nowym garniturze. Może to i głupie — przyznałem — że mi na czemś podobnem zależy, ale mimo to chcę, żeby ci dranie mogli mnie zobaczyć innym, niż jestem teraz, takim jakim będę. To jedno. A potem, kiedy się wyprowadzę i urządzę na nowem mieszkaniu, nic nie stanie na przeszkodzie, aby skomunikować się z Janką. Kto to jest Janka? Cóż panu powiedzieć, była taka dziewczynka... Jednak życie ma swoje uroki — stwierdziłem — tylko trzeba się do niego dobrze zabrać, porządnie wziąć je w garść. I grunt nie poddawać się! Mnie naprzykład, ileż to razy zdawało się, że się nie wygrzebię z tego całego interesu, a jednak wygrzebałem się i to jak się wygrzebałem! Postanowiłem, że w przyszłym tygodniu zatelefonuję do Janki, tak jak dawniej — rano, do biura. Ale zanim zdążyłem sobie wyobrazić zdziwienie, jakie ją ogarnie gdy usłyszy mój głos, uświadomiłem sobie, że zapomniałem numeru telefonu. Był to drobiazg, nic przecież łatwiejszego — wytłumaczyłem sobie zaraz — jak zajrzeć do książki telefonicznej. Jednak fakt, że zatarła mi się w pamięci cyfra niegdyś tak żywa, tak w ciągu wielu miesięcy niezmiennie obecna w każdej chwili mojego życia, wywarł na mnie przykre wrażenie. I spod tego uczucia nie uwolniłem się nawet tłumaczeniem, że przecież od roku blisko nie komunikowałem się z Janką, więc nic dziwnego, że mógł mi z głowy wywietrzeć numer jej telefonu. Było to naturalne i być może nie przywiązywałbym do tej błahostki podobnego znaczenia, gdyby ten cały rok niewidzenia Janki nie wydał mi się nagle ogromnym okresem czasu. Rozrósł się do rozmiarów, w jakich nigdy przedtem go nie widziałem. Było to nieomal życie całe, zamknięte, wyłączne i wszystko co poza niem istniało przedtem — sprawy, ludzie, zdarzenia — uciekło gdzieś wgląb, stało się niepojęcie dalekie, nierzeczywiste, obce. Ta obcość uderzyła mnie przedewszystkiem we mnie samym, takim jakim siebie pamiętałem na tle tamtych spraw. Uczułem, że teraz nie mógłbym już żyć w taki sam jak dawniej sposób. Zatelefonuję, powiedzmy, do Janki. I co z tego? Pomijając nawet, że przez ten czas mogła o mnie zapomnieć

i znaleźć innego, czy, gdyby przyszło do nawiązania dawnego stosunku i gdybym jej na przykład zaczął mówić o moim życiu tutaj, a czułem, że musiałbym o tem mówić, zrozumiałaby z tego cokolwiek, czy odczułaby, dlaczego zerwałem z nią tak nagle, bez słowa wyjaśnienia, czy też to wszystko, co przeżyłem w ciągu ostatnich miesięcy, byłoby dla niej czemś równie dalekiem i obcem, jak dalekiem i obcem było dla mnie jej spokojne, z dnia na dzień równo płynące życie? Przypomniałem sobie z niesmakiem, że przed paroma godzinami zwierzałem się Inspektorowi z planów na przyszłość. Byłem wówczas pewny, że powrót do dawnego życia będzie automatycznym przesunięciem. Teraz spostrzegłem, że to nie jest takie proste jak sądziłem, że nie zmienia się tak łatwo z dnia na dzień życia i siebie. Zresztą nawet i wówczas, gdy zmieni się życie w takim czysto zewnętrznym sensie, w jakim ja miałem zmienić, zawsze pozostanie wewnątrz człowieka krąg spraw nieobjętych tą czy inną zmianą, jakgdyby wogóle od wszelkich wpływów odciętych, stałych, ześrodkowujących się w świecie odrębnym i samotnym, do którego dna ostatecznego ani nikomu zzewnątrz ani samemu niepodobna przeniknąć. Po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że istnieje pewien ludzki kres widzialności i że wszystko, co się w człowieku znajduje poza tą linią — pozostaje niewiadome, powiedziałam panu, jakaś tajemnicza i złowroga dzungla, niedostępna, zamknięta w wiecznym mroku. Ogarnęła mnie wątpliwość, czy mimo wszystko Inspektor nie miał, przynajmniej w części, słuszności. Ludzie, być może, wiedzą o tej swojej wewnętrznej tajemnicy, świadomie czy nieświadomie wyczuwają jej obecność i omijają ją, uciekają przed nią, kierowani nieomylnym instynktem bezpieczeństwa. Ale o to chodzi, czy mogą uciec do końca? Czy w pewnej nieprzeczuwanej i niewiadomej chwili człowiek nie musi stanąć wobec tego nienawistnego mroku i zrozumieć, że wszystko, co dotychczas robił, było oszukiwaniem się, jednym wielkim kłamstwem, a jedyna ważna prawda jest w człowieku właśnie tam, gdzie w ciszy i w ciemności rozgrywa się ostateczna walka nienazwanych żywiołów? A jeśli tak jest, to co wtedy? Co ma człowiek robić, w którą stronę ma się zwrócić, gdzie ma szukać ratunku? Przecież wszystko, cokolwiek w nas żyje, domaga się odpowiedzi, czem ma być człowiek, gdy już ani w żadnej sprawie ludzkiej, ani w żadnym drugim człowieku nie znajduje oparcia i jest samotny i niepojęcie zagubiony... — — —

Nazajutrz Mojk zamiast o ósmej przyszedł do biura o dziewiątej. Kiedy zapytano go o powód tej dziwnej u świeżo zakontraktowanego urzędnika opieszałości, odpowiedział bezsensowną awanturą, że wyprasza sobie wtrącanie się do jego spraw. Spóźnił się, bo tak mu się podobało, nie nikomu do tego. I wogóle, niech wiedzą, że gwizdże na całą budę! Oczywiście

z miejsca go wylano. Ponieważ należała mu się zapłata za ostatni tydzień, zszedł na dół do kasy. Wtedy z krótkiej, zupełnie przypadkowej rozmowy z kasjerem dowiedział się, że Front nie posiada obecnie żadnej rodziny. Miał syna, wyjaśnił kasjer (który, jak się okazało, był starym przyjacielem Fronta), ale zginął na wojnie...

Mojk zgarnął pieniądze i wyszedł na dwór.

Wszystkie fabryki i warsztaty były nieczynne. Robotnicy z rodzinami wylegli na ulice.

Mojk przyłączył się do jednej z grup i w gromadzie szedł w stronę miasta. Po drodze dołączały się nowe garstki manifestantów. Pochód rósł. Przy Żelaznej wypełniał szczelnie jezdnię i trotuary. Ktoś zaintonował Międzynarodówkę. Mojek śpiewał i krzyczał z innymi. O niczem nie myślał. Miał takie wrażenie, jakby wszystko w nim zakrzepło i stężało. W pewnej chwili chłopak, idący obok z transparentem w rękę, zemdlał. Okazało się, że z głodu. Kilku mężczyzn zajęło się leżącym, przeniesiono go na stronę, a transparent wciśnięto w zamieszaniu Mojcowi. Machinalnie podniósł go do góry i maszerował dalej — — —

KAZIMIERZ SOWIŃSKI

W I E R S Z E

POD GRANIA

*Zieleń czesana wiatrem w dolinie
puszystym warkoczem nad strumieniem się splata,
po zieleni, jak po ścieżce wymoszczonej wonią
dzień za wodą — w pogodzie skąpany — nadąża.*

*Wgórze
ziemia z niebem się spina
zszarpaną linią grani
a wichry grzywą jodeł potrząsa nad głową.
Tutaj palce splątane w zygzak przerażenia
zaciskają kruchą obręcz rąk
na martwym glazie
jak na całej ziemi.*

*Stąd już niema powrotu w dolinę,
cichnącą pod zachód.
Już nigdy wieczór snem nie spadnie na oczy,
już nigdy świt nie zapuka w szybę dziobkami zbudzonych gołębi.*

*Nadarmo wytężyć wzrok:
stąd niema już drogi wgórze.
Niebo zamknął skalny stupudowy złom,
zastygły w zuchwałym skoku.*

*Jakaż cię siła, skało, trzyma na granitowych barach?
Oderwij się — kamienna — od kamiennego torsu —
wiszę, jestem, trwam:
p r z y w a l l*

W ŚRODKU WIDNOKRĘGU

*Jeszcze na powiekach ciąży,
 jeszcze przygniała barki
 i boli
 leniwy cień podokiennych krzaków
 za szybą,
 ale już na ustach smak wiatru,
 ale już na oczach dzień, zakreślony lotem jaskółki.
 Wyjdę w porankową godzinę,
 kochanek polnej ścieżki,
 pogodzie rozfalowanej kłosami
 naprzeciw.
 Na liściach — rosa,
 na żdźbłach trawy krople drżące.
 Czołgać się między skibami,
 ustami dotknąć trawy,
 nozdrzami — zapach ziemi!*

*Mocno, mocno, krzepiąca siło,
 wznies mnie, wydzwignij nad żyzny zagon,
 jak słonecznika krzak!*

*Chmury — w dalekość — płyną —
 wiatr — wieje — z przestrzeni — w przestrzeń.
 Pola — pola — rozległe,
 lasy — lasy — cieniste —
 i ciche.*

*Mój dom pod niebem wysokim,
 zamknięty zasięgiem oczu
 pomiędzy świtaniem, budzącem tęsknotę,
 i zachodem, miękkim od spoczynku i mchu.*

*Rozsupłana linja widnokręgu
 prowadzi swobodne oczy
 z krańca na kraniec.*

*O daleka, nigdy niewidziana,
 o najdroższa, najwierniejsza marzeniu,
 ziemio jedyna —
 niepowitana
 ojczyzno za horyzontem!*

*Pójdę wsparty o zapach ziemi.
 Oddam się tobie cały,
 gościnna drogo.
 Pod stopą zmieści się wiele świata!
 Wygarniać ziemię z pod stóp
 i do serca!*

HENRYK KLEIST

K S I A Ż Ę H O M B U R G U

AKT PIERWSZY

Ferbellin. Ogród w starofrancuskim stylu. Na dalszym planie zamek, od którego schodzi rampa. Noc.

SCENA PIERWSZA

Książę Homburgu z gołą głową i odkrytą piersią, pół na jawie — pół we śnie, siedzi na ławie pod dębem i wije wieniec. Elektor, Elektorowa, Księżniczka Natalja, Hrabia Hohenzollern, Rotmistrz Goltz i inni wychodzą cicho z zamku i patrzą nań ze schodów rampy. Paziowie z pochodniami.

HR. HOHENZOLLERN Książę Homburgu, nasz waleczny kuzyn,
Miałże od ciebie rozkaz, by nie dłużej —
Aczkolwiek dzisiaj dopiero powrócił
Bez tchu, wraz z jazdą, z pościgu za Szwedem —
W głównej kwaterze bawić w Ferbellinie
Nad trzy godziny, by jeździe dać wytchnąć,
I miałże rozkaz, by Wrangla natychmiast,
Który na Rinie chce się oszańcować,
Za góry Hackel odrzucić?

ELEKTOR

Istotnie.

HOHENZOLLERN Wydawszy rozkaz dowódcom szwadronów,
Aby z wybiciem godziny dziesiątej,
Tak jak to było przewidziane w planie,
Gotowi byli do odjazdu z miasta —
Książę — zziajany, jęcząc jak pies gończy,
Zaszył się w słomę, by sobie przed bitwą,
Która nas czeka z promieniem jutrzeńki,
Znużone członki nieco wywczasować.

ELEKTOR Do czego zmierzasz?

HOHENZOLLERN

Wybija godzina

I cała jazda już siedzi na koniach,
 Ziemię przed bramą tratując kopytem.
 Brak kogoś, — kogo? Księcia i dowódcy.
 Więc z pochodniami, z latarniami, z światłem
 Szukano woja, znalazł się — lecz gdzie?
 Niczem lunatyk, — spójrz, — tutaj na ławie,
 Księżycą światłem (wprost trudne do wiary!)
 Zwabiony... marzy. I jakby potomność
 Wyreńczyć pragnął — wije wieniec sławy.

ELEKTOR Co?

HOHENZOLLERN Tak, w istocie — spójrz na dół: tam siedzi
 (*oświeca go ze schodów*)

ELEKTOR We śnie pogrążon, — niemożliwe!

HOHENZOLLERN

We śnie;

Krzyknąć na niego, to z ławy się zwali.

ELEKTOROWA Ach, ten młodzieniec chory jest, na Boga!

KSIĘŻNICZKA Medyka wołać tu!

ELEKTOROWA

Co do mnie — sędzę,

Trzeba mu pomóc, nie zaś stroić drwinki.

HOHENZOLLERN (*oddawszy pochodnię*)

On zdrow zupełnie, współczujące panie!
 Zdrowszy ode mnie, — ręczę. Szwedzi jutro
 Na swoich grzbietach dobrze to odczują!
 To tylko — raczcie wierzyć memu słowu —
 Własnego ducha nieopanowanie.

ELEKTOR To brzmi jak bajka. Pójdźmyż, przyjaciele,

I zbliska w twarz mu zajrzyjmy znienacka (*Schodzą po
 schodach w dół*)

DWORZANIN Zabrać pochodnie!

HOHENZOLLERN

Pozwól, bracie, pozwól:

Całe łuczywo mogłoby zapłonąć,
 A jego umysł więcejby nie odczuł,
 Niż ten diament na jego pierścieniu (*Otoczają Księcia, Paziowie
 świecą*)

ELEKTOR (*pochylając się nad Księciem*)

Co on za liście zwija — liście wierzby?

HOHENZOLLERN To liście wierzby? Nie, panie — to wawrzyn,

Jaki oglądał na starych portretach
W rycerskiej sali na zamku w Berlinie.

ELEKTOR Gdzie go wynalazł w piaskach mojej marchji —
To jeno bogi wiedzą sprawiedliwe.

DWORZANIN Zapewne w głębi ogrodu: ogrodnik
Różne zamorskie hoduje tam dziwa.

ELEKTOR To osobliwe! Ale cóż — wiem przecież,
Co tego głupca młodego rozmarza.

HOHENZOLLERN Cóż jak nie walka jutrzejsza, mój władco?
Marzyciel, duszy oczyma już widzi
Słoneczny wieniec zwycięstwa na czole (*Księżę ogląda wieniec*)

DWORZANIN Wieniec już gotów.

HOHENZOLLERN Szkoła, wielka szkoda,
Że tu w pobliżu nie mamy zwierciadła!
Próżny jak dziewczę, radby kwietny wieniec
To tak — to inak ułożyć na czole,
Jakby to złoty był czepek niewieści!

ELEKTOR Przebóg — chcę wiedzieć, dokąd to zajść może.

Elektor bierze wieniec z rąk Księcia; Księżę czerwienieje i spogląda nań. Elektor owija swój łańcuch wokół wieńca i podaje go Księżniczce. Księżę gwałtownie wstaje. Elektor umyka z Księżniczką, która unosi wieniec; Księżę idzie za nią z wyciągniętymi ramionami.

KSIĄŻĘ Nataljo, moja droga, narzeczono!

ELEKTOR Uchodźmy szybko!

HOHENZOLLERN Co mówił ten głupiec?

DWORZANIN Co mówił?

KSIĄŻĘ Stryju — mój księżę, mój ojciec!

HOHENZOLLERN Do djabła!

ELEKTOR (*umykając w stronę furty*) Furtę otworzyć!

KSIĄŻĘ O, matko!...

HOHENZOLLERN Szalona pałka!

ELEKTOROWA Kogo tak nazywa?

KSIĄŻĘ Najdroższa — czemu uchodzisz, Nataljo? (*pochwycił jedną z rękawiczek z ręki Księżniczki*)

HOHENZOLLERN Co on pochwycił, — przebóg, — wianek?

KSIĘŻNICZKA Nie, nie.

HOHENZOLLERN (*otwiera drzwi*)

Otwarte, panie mój — uchodź czempredzej,

Aby ten cały obraz znów mu zniknął.

ELEKTOR W nicość, przepadaj, mój Księżę Homburgu!

W nicość, przepadaj! A na polu bitwy,
 Jeżeli pragniesz, znowu się spotkamy,
 Bo takie rzeczy nie snów są zdobyczą (*Wszyscy odchodzą;
 drzwi gwałtownie zatrząskują się przed Księciem*).

SCENA DRUGA

Księżę stoi przed bramą z wyrazem zdumienia, potem zstępuje w zadumie ze schodów rampy, położywszy na czole rękę, w której trzyma rękawiczkę; gdy już jest na dole, znowu się obraca i spogląda w kierunku drzwi.

SCENA TRZECIA

Hohenzollern wchodzi z dołu przez okratowane drzwi. Za nim Paż; Księżę Homburgu.

PAŻ Hrabio, słoweczko, miłościwy panie!

HOHENZOLLERN (*niechętnie*) Psyt! ty cykado. Co tam?

PAŻ Przykazanie.

HOHENZOLLERN Zbudzi mi księcia to twoje ćwierkanie!

PAŻ Od elektora mam tu przykazanie:

Niech żart książęcy w tajni się ostanie,

Milczeć wam każe elektor nasz, a nie...

HOHENZOLLERN Ach idź, mój drogi, wyśpij się na sianie,

Rozumie człek, nim... pałką w łeb dostanie (*Paż odchodzi*).

SCENA CZWARTA

Hrabia Hohenzollern i Księżę Homburgu.

HOHENZOLLERN (*ustawia się w pewnej odległości za Księciem,
 który jeszcze ciągle wpatruje się w rampę*) Arturze!
 (*Księżę Homburgu przewraca się*)

Upadł, jakgdyby dostał kulą w serce (*podchodzi do niego*)

Teraz, to jeno ciekawym bajeczki,

Jaką wymyśli, żeby mi wyjaśnić,

Dlaczego tutaj do snu się ułożył (*pochyla się nad nim*)

Hej! co tu robisz, Arturze! skąd spadłeś?

Gdzie cię tu djabli przynieśli po nocy?

KSIĄŻĘ Ha, miły!

HOHENZOLLERN Słuchaj, — przybyłem ci donieść,

Że jazda, twoim poddana rozkazom,

Już przed godziną wyruszyła w drogę,

A ty — ty leżysz w ogrodzie i śpisz!

KSIĄŻĘ Jaka tam jazda?

HOHENZOLLERN Jaka? Mameluki.

Na to powietrze, z którego dech czerpię:

Z łba mu wywiało, że jest wodzem jazdy!!

KSIĄŻĘ Mój hełm — a szybko! Podać moją zbroję!

HOHENZOLLERN Ba, skąd je wezmę?

KSIĄŻĘ

Tam, Heniu — na prawo

Tam, na zydelku!

HOHENZOLLERN Gdzie są na zydelku?

KSIĄŻĘ Tak, tam je kładłem!

HOHENZOLLERN To weź je z zydelka.

KSIĄŻĘ A to co znowu? jakaś rękawiczka?!

HOHENZOLLERN Nie wie, przeklęty, że sam ją księżniczce

Przed chwilą zerwał mimowoli z ręki.

No, prędko — dalej, czemu zwlekasz? w drogę!

KSIĄŻĘ Zaraz — no, zaraz! Ten przeklęty Kuba

Miał, do kaduka, rozkaz, by mnie zbudzić (*odrzuca rękawiczkę*)

HOHENZOLLERN On nie na żarty zwarzjował!... (*przygląda mu się*)

KSIĄŻĘ Przysięgam,

Drogi Henryku, że nie wiem gdzie jestem.

HOHENZOLLERN Tu jest Ferbellin, śpiochu bez pamięci;

To jedna z bocznych alei ogrodu,

Rozpostartego dookoła zamku.

KSIĄŻĘ (*do siebie*) Oby połknęła mnie noc! Znowu, widać,
Błądziłem nocą w promieniach księżycy (*opanowuje się*)

Przebacz — wiem wszystko... Naskutek upału —

Wiesz, — trudno było na łóżku wytrzymać.

Znużony, wkradłem się tu, do ogrodu;

Noc jasnowłosa, pełna aromatu,

Jak perskie dziewczę swego oblubieńca

W ramiona swoje tak słodko mnie wzięła,

Że położyłem się tu, na jej łonie.

Która godzina?

HOHENZOLLERN Jest wpół do dwunastej.

KSIĄŻĘ Moje szwadrony, mówisz, już ruszyły?

HOHENZOLLERN Tak — o dziesiątej: to jasne jak w planie.

A pułk księżniczki orańskiej napewno,

W tej chwili właśnie idąc w awangardzie,

Osiąga wzgórze Hakelwickie. Stamtąd

Jutro o świcie będzie ubezpieczał

Cichy marsz wojska przeciw armji Wrangla.

KSIĄŻĘ No, mniejsza o to — Kotwitz go prowadzi,

Znający każdy zamysł tego marszu.

Musiałbym przytem do głównej kwatery

Znów punkt na drugą śpieszyć się spowrotem,

Bo mamy jeszcze dziś odebrać rozkaz.

To nawet lepiej, że zostałem tutaj...

No, chodź, pójdziemy — elektor nic nie wie?

HOHENZOLLERN Dawno się do snu ułożył i śpi już! (*Chcąc odejść*)

KSIĄŻĘ (*odwraca się i podnosi rękawiczkę*)

Jakież ja dziwny śniłem dzisiaj sen!...

Było tak: złotem i srebrem błyszczący

Nagle królewski zamek się otworzył.

Zwysoka, z jego marmurowych stopni

Schodziło ku mnie kilkoro tych ludzi,

Których z całego pokochałem serca:

Elektor, księżna i jeszcze ta trzecia —

No, jak się zowie?

HOHENZOLLERN Kto?

KSIĄŻĘ Ten, o kim myślę!

Jej imię niemy potrafiłby wyrzec!

HOHENZOLLERN Platen?

KSIĄŻĘ Nie, miły!

HOHENZOLLERN Może zatem Ramin?

KSIĄŻĘ Nie, przyjacielu, nie!...

HOHENZOLLERN Więc Bork, Winterfeld?

KSIĄŻĘ Nie, nie — daj pokój, toć nie poznasz perły,

Ujrawszy tylko pierścień co ją więzi.

HOHENZOLLERN Mówże, do kata, daj zgadnąć oblicze —

O jakiej damie myślisz?

KSIĄŻĘ Mniejsza o to.

Gdy się zbudziłem — imię uleciało,

Lecz i bez niego pojdziesz to co powiem.

HOHENZOLLERN No, więc mów dalej.

KSIĄŻĘ Ale nie przerywaj!

...A on, Elektor, z Jowiszowem czołem,

Trzymając w rękach wawrzynowy wieniec,

Tuż przed obliczem mojem stanął sobie

I aby duszę do cna mi rozżarzyć,

Łańcuchem z piersi zdjętym go owinał

I podał, żeby włożyła na czoło...

O, miły...

HOHENZOLLERN Komuż?

KSIĄŻĘ

O, miły!

HOHENZOLLERN

No, mówże!

KSIĄŻĘ Ach, to napewno Platen być musiała.

HOHENZOLLERN Ach — Platen pewnie bawi teraz w Prusiech.

KSIĄŻĘ Tak, Platen, Platen... albo może Ramin?

HOHENZOLLERN Ach, tak — to Ramin, ta miedzianowłosa,
Platen - szelmutka, jej oczy - fiołki,
Ciebie urzekły!

KSIĄŻĘ

Tak, ta mnie urzekła.

HOHENZOLLERN I ta, powiadasz, wręczyła ci wieniec?

KSIĄŻĘ Wysoko w górę, niby genjusz sławy,
Podniosła wieniec owity łańcuchem —
Jakgdyby wieńczyć chciała bohatera!
A ja, wzruszony ponad wszelką miarę,
Podniosłem ku niej ręce, by go chwycić;
Chciałem się przed nią rzucić na kolana!
Jednak jak zapach wonnych dolin górskich
Przed rzeźwym wiatru powiewem uchodzi —
Tak całe grono pierzchnęło przede mną
Na schody rampy wstępując.
Schody urosły, kiedym na nich stanął,
W bezkres — hen! kędyś, aż do bram niebiosów!...
Sięgałem w prawo i sięgałem w lewo,
By kogoś z drogich mi pochwycić wreszcie —
Daremnie! Nagle brama się otwiera
I błyskawicą wciąga ich do środka,
Poczem z hałasem znowu się zamyka!...
I tylko zerwał słodkiej marze sennej
W czasie pościgu rękawiczkę z dłoni —
I rękawiczkę tę — wszechmocne bogi —
Po przebudzeniu trzymałem w swej ręce!

HOHENZOLLERN Na honor! Sądzisz, że ta rękawiczka
Należy do niej?

KSIĄŻĘ

Do kogo?

HOHENZOLLERN

Do Platen.

KSIĄŻĘ Może do Platen, a może do Ramin?

HOHENZOLLERN (*śmiejąc się*)

Daj pokój, szelmo, ze swemi wizjami!
Kto wie, o jakiej pasterskiej godzinie,

Z ciała i kości, była tu na jawie
I rękawiczka do rąk ci przyłgnęła?

KSIĄŻĘ Czyż to być może!...

HOHENZOLLERN Ależ tak, do kata!

Mnie wszystko jedno, Platen czyli Ramin —
W niedzielę poczta odchodzi do Prus:
W najprostszy sposób możesz się dowiedzieć,
Czy twojej miłej nie brak rękawiczki.

Lecz już dwunasta, a my wciąż gadamy.

KSIĄŻĘ Tak jest — masz rację, trzeba iść do łóżka.

Ale — coś chciałem powiedzieć, mój drogi:

Czy jest tu jeszcze żona elektora

I siostrzenica jej, miła księżniczka?

Obie niedawno odwiedzały obóz.

HOHENZOLLERN Lecz poco pytasz? — Głupiec, gotów...

KSIĄŻĘ

Poco?

Miałem wyznaczyć trzydziestu dragonów

Jako eskortę, by je odprowadzić

Poza plac boju, a więc może Ramin...

HOHENZOLLERN Dawno ich niema, lub jadą w tej chwili.

Ramin, kompletnie gotowa do drogi,

Stała noc całą pewnie przy portalu.

Spieszmy — dwunasta już. Chciałbym przed bitwą

Jeszcze choć trochę zaznać wypoczynku!

SCENA PIĄTA

Elektorowa i Księżniczka Natalja w strojach podróżnych prowadzone przez Pazię wchodzi i siadają z boku; damy dworu, potem Elektor, Feldmarszałek Dörfling, Książę Homburgu z rękawiczką w zanadru, Hr. Hohenzollern, Hr. Truchs, Pułkownik Hennings, Rotm. Goltz i wielu innych generałów, pułkowników i oficerów.

ELEKTOR Co to za strzały słyszać, czy to Goetz?

MARSZAŁEK Tak, Goetz, pułkownik. Mój książę i panie,

On to wyruszył wczoraj z przednią strażą:

Już tu przysyłał swego oficera,

Żeby w tej mierze ciebie uspokoić.

Kolumna szwedzka do tysiąca ludzi

Aż się po wzgórza Hackel zapędziła,

Lecz Goetz ci ręczy za ten łańcuch górski

I prosił o to, ażebyś tak działał,

Jakby straż przednia stanęła już na nich.

ELEKTOR (*do oficerów*) Marszałek zna już plan bitwy, więc proszę,
Racście wziąć rylce i zrobić odpisy.

Oficerowie gromadzą się wokół Marszałka i wyjmują swoje tabliczki do pisania. Elektor
zwraca się do jednego z dworzan:

Czyli z powozem Ramin już zajechał?

DWORZANIN Za chwilę, panie, już konie zaprzęga.

ELEKTOR (*siada na krześle obok Elektorowej i Księżniczki*)

Ramin powiezie drogą mą Elizę,
Trzydziestu jeźdźców mając przy swym boku;
Uda się z wami na zamek kanclerza
Kalkhuhnsem zwany, a leżący w górach
Havel, nad rzeką o tej samej nazwie.
Tam na lekarstwo nie ujrzycie Szweda!

ELEKTOROWA Czy zamówiono w porę prom na rzece?

ELEKTOR Przy górze Havel? Tak, będzie tam czekał;

Dzień minie, zanim staniecie na promie.

Nataljo, jakoś dziwnie jesteś cicha,

Czy brak ci czego?

KSIĘŻNICZKA Straszno mi, stryjasku.

ELEKTOR A przecież, córko, jesteś tak bezpieczna,

Że bezpieczniejsza nie byłaś u matki.

Marszałek dyktuje. Księżę uparcie patrzy na damy.

MARSZAŁEK Otóż — plan bitwy, panowie dowódcy,

Jaki nakreślił nasz pan miłościwy,
Zmierza do tego, by rozbić w puch Szwedów
Przez oderwanie ich od mostu, który
Przy rzece Rinie tyły ich zasłania...
Pułkownik Hennings!

HENNINGS Jestem!

MARSZAŁEK Z woli Pana

Pułkownik prawem dowodzić ma skrzydłem
I ma próbować lewe skrzydło wroga
Obejść po cichu, skradając się wikłą,
Żeby je klinem odciąć od trzech mostów,
Trzech mostów Rinu, z hrabią Truchs złączony.
Hrabia Truchs!

HRABIA TRUCHS Jestem!

MARSZAŁEK ...Z hrabią Truchs złączony,

Który tymczasem zająć ma działami
Nawprost wojsk Wrangla pozycję na wzgórzu.

TRUCHS (*pisząc*) Zająć działami pozycję...

MARSZAŁEK

Gotowe?

Ma się postarać zepchnąć Szwedów w bagna,

Które się ciągną za prawem ich skrzydłem... (*Wchodzi Hajduk*)

HAJDUK Łaskawa pani, powóz już zajechał (*Panie wstają*)

MARSZAŁEK Księżę Homburgu!

ELEKTOR (*podnosi się równocześnie*) Czy Ramin już gotów?

HAJDUK Tak, już przed bramą oczekuje konno! (*Elektorostwo żegnają się*)

MARSZAŁEK ...Które się ciągną za prawem ich skrzydłem.

Księżę Homburgu! Gdzie Księżę Homburgu?

HOHENZOLLERN (*pocichu*) Arturze...

KSIĄŻĘ

Jestem!

HOHENZOLLERN

Czy ty zmysły tracisz?

KSIĄŻĘ Co mi rozkaże mój marszałek polny? (*czerwieni się, bierze rylec, pergamin i pisze*)

MARSZAŁEK Temu porucza Jego Mość Księżęca

Zaszczytną władzę, tak jak pod Rathenow,

Nad całą świetną jazdą brandeburską (*zatrzymuje się*)

Pułkownik Kotwitz, bez ujmy dla niego,

Będzie mu w bitwie służył swoją radą (*półgłosem do Goltza*)

Czy Kotwitz jest tu?

GOLTZ

Nie, mój generale:

Mnie tutaj przysłał, abym zamiast niego

Z ust twych odebrał wojenne rozkazy (*Księżę znów spoziera za damami*)

MARSZAŁEK (*dyktując dalej*)

Księżę ma skryć się przy wiosce Hackelwitz,

Mając przed sobą prawe skrzydło szwedzkie,

Poza zasięgiem armatniego strzału.

GOLTZ ...Poza zasięgiem armatniego strzału.

Elektorowa wiąże Księżniczce chustkę na szyi. Księżniczka chce wdziać sobie rękawiczkę — rozgląda się, jakgdyby czegoś szukała. Elektor podchodzi do niej.

ELEKTOR Czy brak ci czegoś?

ELEKTOROWA

Czy ci co zginęło?

KSIĘŻNICZKA Szukam, ciotuniu, swojej rękawiczki (*Wszyscy się rozglądają*)

ELEKTOR O, piękne panie, bądźcie tak łaskawe...

ELEKTOROWA Trzymasz ją w ręku!

KSIEŻNICZKA Prawą, lecz gdzie lewa?

ELEKTOR Pewnie została gdzieś w twojej sypialni.

KSIEŻNICZKA Moja Bork!

ELEKTOR (*do owej damy*) Prędko, prędko!

KSIEŻNICZKA Na kominie (*Dama odchodzi*)

KSIAŻĘ (*do siebie*) O, Panie świata — czy dobrze słyszałem? (*wyjmuję rękawiczkę z zanadrza*)

MARSZAŁEK (*zagląda w papier, który ma w rękach*)

...Poza zasięgiem armatniego strzału...

Książę Homburgu!

KSIAŻĘ Szukam rękawiczki! (*spoziera to na Księżniczkę, to na rękawiczkę*)

MARSZAŁEK Na elektora rozkaz najsurowszy...

GOLTZ (*pisząc*) ...Na elektora rozkaz najsurowszy...

MARSZAŁEK ...Jakiebykolwiek były losy bitwy,

Wyznaczonego miejsca nie porzuci.

KSIAŻĘ Teraz się cała zagadka wyjaśni!

Upuszcza rękawiczkę razem z chustką; chustkę podnosi, a rękawiczkę zostawia na podłodze — tak, że każdy może ją dostrzec.

MARSZAŁEK Co robi książę?

HOHENZOLLERN (*nieznacznie*) Arturze...

KSIAŻĘ Tu!

HOHENZOLLERN Chyba

Djabeł wlaźł w ciebie.

KSIAŻĘ Co każe Marszałek?

Bierze znów rylce i tabliczkę; Marszałek patrzy nań pytająco; pauza.

GOLTZ (*napisawszy*) ...Wyznaczonego miejsca nie porzuci...

MARSZAŁEK ...Dopóki napór Truchsa i Henningsa...

KSIAŻĘ (*potajemnie do Goltza, patrząc w swą tabliczkę*)

Kto, drogi Goltz — ja?

GOLTZ Tak, pan — bo i któżby?

KSIAŻĘ Miejsca nie rzucę?

GOLTZ Tak.

MARSZAŁEK No, czy już gotowe?

KSIAŻĘ (*głośno*) Wyznaczonego miejsca nie porzucę...

MARSZAŁEK ...Dopóki napór Truchsa i Henningsa (*zatrzymuje się*)

Lewego skrzydła wrogich wojsk nie zepchnie,

By znów na prawe runąć i gromadą

Pchać bezpamiętnie Szwedów w stronę bagien.

W tych grzęzawiskach, porżniętych rowami,

Jest planem naszym, aby w proch ich zetrzeć.

ELEKTOR Paziowie, światła! Moje ramię, drogie! *(wstaje wraz z Księżną i Księżniczką)*

MARSZAŁEK Wtedy dopiero każe grać pobudkę...

ELEKTOROWA Do zobaczenia — już nie zatrzymujcie! *(Niektórzy oficerowie się kłaniają; Marszałek również zęgną damy ukłonem)*

ELEKTOR *(zatrzymuje się)* Patrz — rękawiczka, szybko: leży tam.

DWORZANIN Gdzie?

ELEKTOR U stóp księcia, naszego kuzyna!

KSIĄŻĘ *(zmieszany)* Czy to tej właśnie szukasz rękawiczki? *(podaje Księżniczce rękawiczkę)*

KSIĘŻNICZKA Dziękuję, książę.

KSIĄŻĘ To twoja — napewno?

KSIĘŻNICZKA Tak, to jest moja — ta, co mi zginęła! *(przyjmuje ją i naciąga na rękę)*

ELEKTOROWA *(odchodząc, do Księcia Homburgu)*

Życzę ci zdrowia, szczęścia, pomyślności;

Spraw, byśmy rychło wszyscy się spotkali.

KSIĄŻĘ *(stoi przez chwilę, jak piorunem rażony; potem powraca triumfalnymi krokami w grono oficerów)*

Wtedy dopiero każe grać pobudkę... *(udaje, że pisze)*

MARSZAŁEK *(zagląda do swoich papierów)*

...Wtedy dopiero każe grać pobudkę.

Jednakże Pan nasz Miłościwy, pragnąc,

By książę bitwy przedwcześnie nie skończył... *(zatrzymuje się)*

KSIĄŻĘ *(do Hrabiego Hohenzollern, potajemnie, wielce wzruszony)* Henryku...

HOHENZOLLERN *(niechętnie)* Czego — o co ci znów chodzi?

KSIĄŻĘ Nic nie widziałeś?

HOHENZOLLERN Nie — cicho, do kata!

MARSZAŁEK ...Ze swojej świty przyśle oficera,

Który mu odda, — proszę zapamiętać, —

Wyrażny rozkaz natarcia na wroga.

Przedtem pobudki grać nie będzie wolno *(Książę stoi i duma)*

GOLTZ *(pisze)* ...Przedtem pobudki grać nie będzie wolno.

MARSZAŁEK (*podniesionym tonem*)

Przepraszam, książę — czy pan to zapisał?

KSIĄŻĘ Marszałku!...

MARSZAŁEK Pytam, czy pan już zapisał?

KSIĄŻĘ Sprawę pobudki?

HOHENZOLLERN (*potajemnie, niechętnie, z naciskiem*)

Tak, tak, ty przekłęty:

Wcześniej nie każesz...

GOLTZ (*tak samo*) ...Aż kiedy on sam...

KSIĄŻĘ Wcześniej nie każę grać, dopiero potem.

MARSZAŁEK Proszę pamiętać, mój drogi baronie,

Że pragnę widzieć — jeśli to możliwe,

Przed starciem jeszcze — pułkownika Kotwitz.

GOLTZ (*znacząco*) Powiem mu o tem, proszę mi zaufać.

ELEKTOR (*wraca*) Generałowie, pułkownicy moi,

Niebo już błędnie; — instrukcje przyjęte?

MARSZAŁEK Skończone, książę: twe plany wojenne

Pomiędzy wodzów ściśle rozdzieliłem!

ELEKTOR (*biorąc kapelusz i rękawiczki*)

Książę Homburgu, tobie zlecam spokój:

Tyś mnie pozbawił — wiesz o tem — dwóch zwycięstw

Nad brzegiem Renu. Panuj więc nad sobą

I dziś trzeciego nie każ mi się wyrzec,

Bo ono dla mnie ma wagę korony (*do oficerów*)

Za mną. Hej, Franek!

HAJDUK Jestem!

ELEKTOR Dawaj siwka!

Na polu bitwy stanąć chcę przed wschodem.

SCENA SZÓSTA

KSIĄŻĘ (*wychodząc na przód sceny*)

A teraz, szczęście, bywaj: na swej kuli

Przytocz się tutaj! Już wietrzyk swawolny

Z twego oblicza uchylił zasłony.

Jeszcze dotknięcie twe czuję we włosach

I trzymam zastaw rzucony w przelocie,

Razem z uśmiechem, z rogu obfitości!

Szczęście, pierzchliwe dziecię bogów, dzisiaj

Schwyć cię w bitwie, nareszcie do nóg mych

Ścieląc wszelakie twe błogosławieństwa —

Choćby siedmiokroć łańcuchem z żelaza
Wprzód cię przykuto do rydwanu Szwedów! *(odchodzi)*

AKT DRUGI

SCENA PIERWSZA

Scena: pole bitwy pod Ferbellinem. Wchodzą: Pułkownik Kotwitz, Hrabia Hohenzollern, Rotmistrz Goltz i inni oficerowie na czele jazdy.

PULKOWNIK KOTWITZ *(za sceną)* Stać tutaj, jazda, i z koni!

HOHENZOLLERN i GOLTZ *(wchodzą na scenę)* Stać, stać!

KOTWITZ Kto mi pomoże z konia, przyjaciele?

HOHENZOLLERN i GOLTZ *(wchodzą z powrotem za scenę)*
Tu, stary!

KOTWITZ Dziękuję — uff! niech mnie cholera!

Oby wam kiedyś za waszą przysługę —

Gdy przyjdzie starość — syn równie wygodził! *(wchodzi na scenę; Hohenzollern, Goltz i inni za nim)*

Na koniu czuję pełnię sił młodzieńczych —

Lecz skoro zsiądę, poczyną się walka,

Jakby duch z ciałem pragnęły się rozstać *(rozgląda się)*

Gdzie jest Książęca Mość, a nasz dowódca?

HOHENZOLLERN Książę powróci zaraz.

KOTWITZ Gdzież jest teraz?

HOHENZOLLERN Pojechał do wsi, co została z boku,

W gąszczu ukryta. Wróci niezadługo.

I OFICER W nocy podobno upadł razem z koniem?

HOHENZOLLERN Tak jest.

KOTWITZ On upadł?

HOHENZOLLERN Nic niebezpiecznego!

Jego kasztanek spłoszył się przy młynie,

Lecz książę, lekko uskoczywszy na bok,

Nie wyniósł nawet najmniejszego szwanku;

Teraz już szkoda więcej o tem mówić.

KOTWITZ *(wstępując na pagórek)*

Cudny dzień dzisiaj, oddycham szeroko...

Ten dzień — tak cudny — dobry Pan Stworzenia

Na słodsze rzeczy, nie na walkę zesłał.

Słońce przez chmury czerwono patrzy,

A serca nasze jak skowronki lecą

Radośnie w czyste niebiosów etery.

GOLTZ Czy odszukałeś marszałka Dörflinga?

KOTWITZ A nie, do kata — co chce Ekscelencja?

Czy jestem strzałą, ptakiem, czy też myślą,

Bym mógł przesadzić całe pole bitwy?

Byłem na górach Hackel z przednią strażą,

Byłem w dolinach Hackel z tylną strażą,

Lecz o marszałku ni słychu ni dychu;

Więc odszukałem z powrotem swą jazdę.

GOLTZ Zmartwi się bardzo: zdaje się, że pragnął

Dać wam zlecenie niepośledniej wagi.

I OFICER Oto nadchodzi książę, nasz dowódca.

SCENA DRUGA

Książę Homburgu wchodzi z czarną opaską na lewej ręce. Pozostali jak poprzednio.

KOTWITZ Witaj mi, młody i szlachetny książę!

Popatrz — w tym czasie, gdy ty byłeś w wiosce,

Ukryłem jazdę na drodze w dolinę;

Chyba nagana nie spotka mnie za to?

KSIĄŻĘ Dzień dobry, Kotwitz — czołem, przyjaciele!

Wiesz, że pochwalam, cokolwiek uczynisz.

HOHENZOLLERN Cóżes tam robił w tej wiosce, Arturze?

Dziwnieś poważny!

KSIĄŻĘ Ja... byłem w kaplicy,

Przebyskującej z cichych krzaków wioski.

Właśnie dzwoniono na cichą mszę ranną,

Gdyśmy tamtędy szli, i coś mnie tknęło,

Bym wraz z innymi klęknął u ołtarza.

KOTWITZ Nabożny młody pan — to wyznać muszę;

Dzieło to — wierzaj — rozpoczęte z Bogiem:

Musi się skończyć zwycięstwem i chwałą.

KSIĄŻĘ Henryku, słuchaj — mam do ciebie słówko! (*odprowadza*

Hrabiego Hohenzollern nieco na bok)

Co mówił do mnie wczoraj przy rozkazie

Marszałek Dörfling?

HOHENZOLLERN Byłeś roztargniony,

To zmiarkowałem.

KSIĄŻĘ Roztargnion, rozdzielon —

Nie wiem zaiste, co mi brakowało.

To dyktowanie tak mnie oszołamia...

HOHENZOLLERN Tym razem ciebie nie tyczyło wiele.

Graf Truchs i Hennings, wodzowie piechoty,
 Mają wykonać natarcie na wroga;
 Twojem zadaniem czekać tu, w dolinie,
 Wraz z całą jazdą gotową do boju,
 Póki nie przyjdzie rozkaz do natarcia.

KSIĄŻĘ *(po chwili, w której oddał się marzeniom)*

Dziwne zdarzenie...

HOHENZOLLERN Jakie, przyjacielu? *(spojrzał nań, pada
 strzał armatni)*

KOTWITZ Hola, panowie — na koń! Hola, hola!
 Otóż i Hennings — bitwa się zaczyna *(Wszyscy wchodzą na
 pagórek)*

KSIĄŻĘ Co, — kto to strzela?

HOHENZOLLERN To Hennings, Arturze,
 Który się wślizgnął Wranglowi na tyły.
 Chodź — stamtąd wszystko widać jak na dłoni!

GOLTZ *(na pagórku)* Spójrz, jak się groźnie rozwinął nad Rinem.

KSIĄŻĘ *(trzymając rękę nad oczyma)*

To Hennings tam, na naszym prawem skrzydle?

I OFICER Tak, książę panie.

KSIĄŻĘ A to co, u kata?

Wszak wczoraj jeszcze stał na lewym skrzydle? *(Słychać z dali
 strzały armatnie)*

KOTWITZ Niech to pioruny! Patrzcie: z dział dwunastu
 Zieje kulami Wrangel na Henningsa!

I OFICER To szwedzkie szance. Ho, ho! to nie żarty!

II OFICER Przebóg, warowne po sam czubek wieży
 Kościoła wioski, leżącej na tyłach.

GOLTZ Czy to Truchs?

KSIĄŻĘ Gdzie Truchs?

KOTWITZ On to jest w istocie:

Idzie od przodu Henningsowi w sukurs.

KSIĄŻĘ Jakim znów cudem Truchs znalazł się w środku? *(Gwał-
 towna strzelanina)*

GOLTZ O nieba — patrzcie: wieś staje w płomieniach!

III OFICER Prawda, to ogień!

I OFICER Pali się, tak, pali,

Języki ognia liżą już spód wieży...

GOLTZ Posłańcy szwedzcy latają jak iskry.

KOTWITZ (*dotknięty*) Tędy cię wiedli? — Oho, młody panie!

Koń twój, mój książę, w wojennej potrzebie

Jeszcze mojemu byłby u ogona.

Marsz, marsz, panowie — trębacz, pobudka!

Do boju, naprzód! I Kotwitz jest za tem.

GOLTZ (*do Kotwita*) Mój pułkowniku, nigdy — błagam: nigdy...

II OFICER Hennings dotychczas nie osiągnął Rinu.

I OFICER Zabrać mu szpadę!

KSIĄŻĘ Co, mnie zabrać szpadę? (*odpycha go*)

Ej, przemądrzały młodzieńcze, co jeszcze

Nie zna dziesięciu przykazań wojskowych!

Oto jest twoja szpada razem z pochwą (*zrywa mu miecz razem z pasem*)

I OFICER (*zatoczywszy się*) Na Boga, czyn ten...

KSIĄŻĘ Co, jeszcze gębujesz?

HOHENZOLLERN Milcz, oszalałeś?

KSIĄŻĘ (*oddając szpadę oficera*) Hejże, ordynansi!

Odstawić mi go do głównej kwatery (*do Kotwita i pozostałych oficerów*)

Panowie, teraz tak brzmi hasło: podlec,

Kto za dowódcą nie skoczy w sam ogień!

Kto z was zostaje — nuże, kto zostaje?

KOTWITZ Przecież już rzekłem, więc czemu się burzysz?

HOHENZOLLERN Myśmy ci tylko radzili, nic więcej.

KOTWITZ Odpowiesz głową — ja idę za tobą.

KSIĄŻĘ Moja w tem głowa, za wszystko nią ręczę!

SCENA TRZECIA

Scena: izba wiejska. Wchodzi Dworzanin w butach z ostrogami; Wieśniak i jego żona siedzą przy stole i pracują.

DWORZANIN Pokój wam, ludzie! Czy macie dość miejsca,

By w swoim domu przyjąć gości?

WIEŚNIAK Z serca.

ŻONA A można wiedzieć, kogo?

DWORZANIN Naszą matkę,

Ni mniej ni więcej — żonę elektora.

U bramy wioski pękła oś powozu,

A że wieść przysła o zwycięstwie naszych,

Więc nie musimy już pośpieszać dalej.

OBOJE (*wstają*) Zwycięstwo, nieba!

DWORZANIN

Toście nie słyszeli,

Że wojsko szwedzkie na głowę pobite
 I że na lata, jeśli nie na zawsze,
 Kraj nasz bezpieczny od ognia i miecza?
 Patrzcie, już idzie sama księżna pani.

SCENA CZWARTA

Księżna, blada i wzburzona, Księżniczka Natalja i kilka dam dworu za niemi; pozostali
 jak poprzednio.

ELEKTOROWA *(przy drzwiach)*

Bork i Winterfeld, podajcie mi ramię.

KSIĘŻNICZKA *(śpiesząc ku niej)* O, matko moja!DAMY DWORU *(podtrzymują ją)* Boże! blednie... pada..

ELEKTOROWA Dajcie tu krzesło, bo słabną mi nogi.

On zginął, zginął...

KSIĘŻNICZKA O, najdroższa matko!

ELEKTOROWA Chcę sama mówić z posłańcem nieszczęścia!

SCENA PIĄTA

Rotmistrz Morner wchodzi ranny; prowadzi go dwóch jeźdźców.

ELEKTOROWA Cóż to przynosisz mi, posłańcze grozy?

MORNER To, co te oczy, o najdroższa pani,

Na wieczny ból mój, oglądały same.

ELEKTOROWA Więc mów, a prędko!

MORNER

Elektora niema.

KSIĘŻNICZKA Czyż ma w nas trafić tak straszliwy cios? *(kryje
 twarz w dłoniach)*

ELEKTOROWA Zdajże mi sprawę, w jaki sposób zginął.

Jak błyskawica, nim wędrowca zmiążdży,
 Świat mu purpurą raz jeszcze rozwidnia —
 Błyśnie twe słowo; a kiedy już skończysz,
 Noc mi nad głową głucho się zatrzaśnie.

MORNER Książę Homburgu — skoro wróg, przemożnie
 Przez Truchsa party, jął się chwiać w swym szyku,
 Ruszył na Wrangla przez równinę w cwał.
 Już dwa szeregi do cna zmiotł z przed siebie,
 Uciekających wyciął wszystkich w pień,
 Gdy nagle natknął się na ziemny wał,
 Skąd lunął w niego tak morderczy ogień,
 Że jego jezdni kładli się pokotem,
 Jako się kładzie zboża łan dojrzały.

Musiał się wstrzymać wśród krzaków i wzgórz,
By rozproszoną konnicę znów zebrać.

KSIEŻNICZKA *(do Elektorowej)* Najdroższa, spokój...

ELEKTOROWA

Zostaw, zostaw, miła...

MORNER Wtem — tuman pyłu na chwileczkę opadł,

Więc dostrzegliśmy księcia przy chorągwiach

Korpusów Truchsa — pośpieszał na wroga

W promieniach słońca złocącego triumf,

Na białym koniu wspaniale rozparty.

Widząc to wszystko, na stoku pagórka

Pełni obawy staliśmy strapieni.

Nagle — koń pana, a także on sam

Na oczach naszych upadł w pył, na ziemię,

Dwaj chorążowie razem z nim upadli

I chorągwiami swemi go nakryli.

KSIEŻNICZKA O, matko!

I DAMA DWORU

Nieba!

ELEKTOROWA

Dalej, — mówże dalej!

MORNER Wtedy porywa na ten widok straszny

Nieogarniona żałość serce księcia:

Jak tur, ostrogą ubodzony zemsty,

Rzuca się z nami na oszańcowanie,

Rów, wał na skrzydłach orkanu przelata,

Załoga w puch rozbita, wytłuczona, —

Armaty, bębny zdobyte. Chorągwie

I sprzęt wojenny — wszystko naszym łupem!

Gdyby nie grobla na przyczółku Rinu,

Która wstrzymała nasz żelazny uścisk —

Toby nie było nikogo, co mógłby,

Usiadłszy w domu przy ognisku ojców,

Mówić: widziałem w ferbellińskim boju

Śmierć bohatera.....

ELEKTOROWA

Drogie to zwycięstwo —

Oddajcież cenę, za którą kupione!

I DAMA DWORU

Ratunku — Boże, księżna traci zmysły! *(Księżniczka płacze).*

SCENA SZÓSTA

Wchodzi Księżę Homburgu; pozostali jako poprzednio.

KSIAŻĘ *(wzruszony, kładzie jej rękę na sercu)*

O moja luba, najdroższa Nataljo...

KSIEŻNICZKA A więc to...

KSIAŻĘ ...Prawda. Gdybym mógł zaprzeczyć!...

Ach, gdybyż można krwią wiernego serca

Znów jego serce powołać do życia!

KSIEŻNICZKA (*ociera oczy*) Czy znaleziono już książęce zwłoki?

KSIAŻĘ Ach, mem zajęciem była do tej pory

Zemsta na Wranglu — jakże mogłem zatem

O takie rzeczy troszczyć się, najmiłsza.

Lecz już posłałem kilku ludzi, aby

Na polu bitwy zwłoki odszukano;

Napewno znajdą go jeszcze przed nocą!

KSIEŻNICZKA Boże, kto teraz w potępieńczym boju

Tych strasznych Szwedów pognębi? Kto zdoła

Być nam osłoną przed nieprzyjacielem,

Co szczęście jego i sławę nam zabrał?

KSIAŻĘ (*ujmuje jej rękę*) Ja, pani, sprawy jego się podejmę —

Jak anioł chciałbym z mieczem gorejącym

Stać u stóp tronu osieroconego.

Elektor pragnął, zanim rok upłynie,

Marchję mieć wolną: dobrze; więc ja pragnę

Być wykonawcą tej ostatniej woli.

KSIEŻNICZKA Drogi kuzynie! (*usuwa rączkę*)

KSIAŻĘ Najdroższa Nataljo! (*zatrzymuje się przez chwilę*)

A twoja przyszłość, — cóż poczniesz w tej chwili?

KSIEŻNICZKA Ach, cóż mam począć, kiedy runął piorun

I grunt usunął mi spod stóp znienacka?

Mój ojciec drogi, ukochana matka

Leżą w Amsterdam; w proch i pył padł Dortrecht,

Dziedzictwo rodu. A kuzyn Maurycy,

Party przez wojsko tyrańskiej Hiszpanji,

Nie wie, gdzie podziać swoje własne dzieci...

Teraz upadła ostatnia podpora,

Która trzymała grono mego szczęścia;

Dziś po raz drugi zostałam sierotą.

Książę obejmuje ją jedną ręką.

KSIAŻĘ O, droga moja, gdyby nie godzina

Boleści gorzkiej — pragnąłbym powiedzieć:

Oprzyj gałązki swe na mojej piersi,

Która, samotnie od lat zakwitając,
Dziś zatęskniła do woni twych kwiatów.

KSIĘŻNICZKA Mój drogi, złoty...

KSIĄŻĘ Więc powiedz: chcesz tego?

KSIĘŻNICZKA Ach, gdybym mogła wrosnąć ci w rdzeń serca! *(tuli się na jego piersi)*

KSIĄŻĘ Co, co to było?

KSIĘŻNICZKA Ach, zostaw...

KSIĄŻĘ W rdzeń serca,

W rdzeń mego serca wrosnąć chcesz, Nataljo? *(całuje ją, ona się wyrywa)*

Gdybyż tu on był, on — opłakiwany,

By na ten związek popatrzyć! Gdybyśmy

Mogli doń szepnąć: „Ojcze, pobłogosław!“ *(kryje twarz w dłoniach; Natalja znów zwraca się do Księżny).*

SCENA SIÓDMA

Wchodzi raźnie Wachmistrz; pozostali jak poprzednio.

WACHMISTRZ Książę, zaledwie śmiałem wam zameldować,

Jaka pogłoska rozszerza się: ponoć

Elektor żyje.

KSIĄŻĘ Żyje?

WACHMISTRZ Na niebiosą,

Właśnie Graf Sparren przyniósł tę wiadomość.

KSIĘŻNICZKA O, dobry Boże! Matko, czy ty słyszysz? *(pada do nóg Księżny i obejmuje ją)*

KSIĄŻĘ Nie, — kto wieść przyniósł?

WACHMISTRZ Hrabia Jerzy Sparren.

On to uwiódził Elektora w zdrowiu

Na własne oczy przy korpusie Truchsa.

KSIĄŻĘ Nuże, mój stary — dawać mi go tutaj!

(Dalszy ciąg nastąpi)

Przełożył

JAN SZTAUDYNGER

WŁADYSŁAW MALINIAK

ŻYWOTNOŚĆ I AKTUALNOŚĆ ROMANTYZMU POLITYCZNEGO

(Dokończenie)

§ 8. Piłsudski za fikcją w praktyce. I. Piłsudski: „Stworzona przeze mnie fikcja Rządu Narodowego“. II. Piłsudski o konieczności politycznych „pozorów“. III. Daszyński o „cudownej fikcji“. IV. Srokowski o „mistyfikacji“ Rządu Narodowego. V. Mistyfikacja a fikcja. Fikcja a romantyka. VI. Piłsudski za fikcją rządu w okresie T. Rady Stanu. VII. Fikcja „kresowców“ w wyprawie na Wilno. **§ 9. Teoretyczne rozważania Piłsudskiego o roli fikcji.** I. „Bajka a prawda“. II. Piłsudski o różnicy między fikcją a kłamstwem. III. Rola symbolu. Symbol i fikcja. IV. Pierwiastki fikcyjne w honorze. V. Piłsudski o roli symboliki w prawie. Symbolika a kwestja reformy nauczania prawa. VI. Dialektyczne zachodzenie fikcji na kłamstwo.

§ 8. Piłsudski za fikcją w praktyce

I. Piłsudski: „Stworzona przeze mnie fikcja Rządu Narodowego“.

Z wielkiej roli, jaką w procesie historycznym odgrywa fikcja, zupełnie do-
kładnie zdawał sobie sprawę Piłsudski i nie wahał się też, z całą świadomością,
nią się posługiwać, a nawet ex post przyznaje otwarcie, że popełnił błąd, wyrze-
kając się fikcji przedwcześnie. Oto jego wyznanie: „I nieraz wydaje mi się, że mo-
głem znacznie dłużej przeciągać moją absolutną niezależność (jako komendanta
wojska), wykorzystując znacznie dłużej stworzoną przeze mnie fikcję Rządu Na-
rodowego“¹⁾ — „W sprawie politycznej sam skomplikowałem ją niezwykle przez
pośpiech przyłączenia siebie do pierwszej powstałej na ziemiach polskich orga-
nizacji politycznej o charakterze wojennym“ (50 g).

Pobudki, które kierowały Piłsudskim przy tworzeniu tej fikcji, twórca sam
opisuje w sposób następujący: Jednym z powodów, dla których Piłsudski w po-
czątkach sierpnia r. 1914 odkładał rozmowę swą z Tymczasową Komisją Skonfe-
derowanych Stronnictw Niepodległościowych, „był fakt, że wszystkie umowy,
które sztab austriacki chciał zawierać, były wyraźnie umowami z moją jedynie

¹⁾ Piłsudski: *Poprawki historyczne* (1931) 50 g.

osobą, z niemożliwością dopuszczenia do tego kogokolwiek innego²). Zajęty więc byłem parę dni obmyślaniem politycznej barwy, z którą mogę wystąpić. Zatrzymałem się wreszcie na **jedynym możliwym** projekcie spróbowania przynajmniej na czas pewien postawienia siebie w zależność od nieistniejącego wcale **tajnego Rządu Narodowego** w Warszawie. — — — Wolałem tajną i daleką od Krakowa fikcję, niż cokolwiek innego“ (46). W Krakowie ukazała się też „Odezwa Rządu Narodowego“, datowana „Warszawa, 3 sierpnia 1914“, która między innymi podawała do wiadomości: „W Warszawie utworzył się Rząd Narodowy. — — — Komendantem polskich sił wojskowych mianowany został obywatel Józef Piłsudski“³). W odezwie zaś, podpisanej przez Piłsudskiego jako „Komendanta Głównego Wojska Polskiego“, powiedziane było, że „kadry armji polskiej“ „zajmują ją („ziemię Królestwa Polskiego“) w imieniu **Władzy Naczelnej Rządu Narodowego**“ (5 n).

II. Piłsudski o konieczności politycznych „pozorów“.

Do fikcji także Piłsudski zamierzał uciec się przed r. 1914, również w związku ze sprawą stworzenia wojska polskiego. Było to w drugiej połowie r. 1912, gdy Austria wobec nader rozległych przygotowań Rosji do wojny zdecydowała się przerwać te przygotowania przez wywarcie odpowiedniego, prawie że wojennego nacisku na Rosję. Przedstawiciele austriackiego sztabu, uprzedzając wypadki, zaczęli omawiać z Piłsudskim sprawę jego wystąpienia wspólnie z armją austriacką. Według własnych słów Piłsudskiego, wobec faktu, „że w stawianych mi warunkach sprawy polityczne nie odgrywały żadnej roli, były zatem pozostawione mnie samemu, uznałem odrazu, że występować jedynie w swoim imieniu nie będę w stanie, a więc muszę się starać o to, aby wytworzyć lub zorganizować chociażby **pozorną bazę** polityczną, na którą mógłbym niejako zrzucić odpowiedzialność za moje kroki, tak, aby ta odpowiedzialność nie spoczywała jedynie na moich barkach“ (**Poprawki**, 34 śr). — Oczywiście, że „pozorna baza“ — to taka baza, która bazą nie jest, jak np. pozorne kupno — to takie kupno, które w rzeczywistości kupnem nie jest. Baza zaś, która bazą nie jest — to właściwie baza fikcyjna, czyli prostu fikcja.

*

Również w celu wzmocnienia swej pozycji wobec Austrii w lipcu r. 1914 Piłsudski „dla poprawy ciężkich dla niego warunków myślał poszukiwać chociażby **pozornej** i chociażby chwilowej pomocy i oparcia w galicyjskich t. zw. mężach stanu“ (**Poprawki**, 42 śr). Przez „ciężkie warunki“ Piłsudski rozumie tu pogorszenie ich w porównaniu do poprzednich, o których pisze, że „warunki, do których się w owe czasy (w drugiej połowie r. 1912) dogadałem, były conajmniej dziesięć razy lepsze, niż te, z którymi miałem do czynienia w lipcu r. 1914“ (34 g). Tę zmianę na niekorzyść Piłsudski tłumaczy w ten sposób: „Rozwój organizacyj wojskowych

²) **Daszyński**: *Pamiętniki* 1 (1926) 159 śr.: „Istniał może i ten powód, że wówczas K. S. S. N. składała się ze stronnictw galicyjskich (z dodatkiem P. P. S. z Królestwa), co wpływać mogło na jej stosunek do rządu austriackiego, który nie chciał zawierać umów politycznych z własnymi obywatelami“.

³) **Piłsudski**: *Pisma — Mowy — Rozkazy* 4 (1931) 5.

w Galicji i krzykactwo wszelkiego rodzaju partyjników galicyjskich uczyniło najwidoczniej kalkulację sztabu inną, niż była ona w 1912 roku. Zaczęto widocznie liczyć się bardziej z galicyjskim sposobem widzenia, niż z możliwościami, które spotkać można było w zaborze rosyjskim" (42 g). Pomoc pozorna jest taką samą fikcją, jak „pozorna baza“.

*

A oto jeszcze jeden drobny, lecz nader charakterystyczny szczegół. Dnia 6 sierpnia r. 1914 o godzinie 3-ej rano wyruszyła z Oleandrów utworzona przed dwoma dniami kompanja kadrowa, dowodzona przez porucznika Kasprzyckiego, „poprzedzona przez malutki oddział „kawalerji“, złożony z ośmiu ludzi, z których pięciu miało siodła na plecach, ponieważ konie mieli sobie zarekwirować dopiero w Królestwie ⁴⁾).

III. Daszyński o „cudownej fikcji“.

Zarówno istnienie fikcji Rządu Narodowego jak i jej niezbędność wyraźnie stwierdza i Daszyński: „K. S. S. N. ogłosiła dn. 10 sierpnia, że jest „zastępstwem Rządu Narodowego“, ale mojem zdaniem było to „robienie dobrej miny“, bo żadnego mandatu od takiego rządu K. S. S. N. nie miała“ (Pamiętniki, 2/159 g). — „Robienie dobrej miny“ wtedy, gdy nie ma się żadnego mandatu od Rządu Narodowego i mieć się go nie mogło, gdyż według własnego wyznania Piłsudskiego, rząd ten nigdy nie istniał ⁵⁾, — robienie takiej miny w wymienionych właśnie okolicznościach jest zupełnie bezprzedmiotowe, jest tylko miną — to jest właśnie fikcją i niczem więcej.

Daszyński przyznaje jednak, że fikcja ta była niezbędna: „Można przypuszczać, że Piłsudski nie chciał żadnej zależności od komitetu stronnictw robotniczych i chłopskich, aby wojna, którą zaczynał, **nie miała charakteru klasowego** (podkr. Daszyńskiego), a mogła mieścić w sobie bodajże **teoretycznie** cały naród. — — — Był to może pierwszy ważny krok Piłsudskiego w wyrzeczeniu się zależności od stronnictw ludowych w celu uzyskania jakichś ram, w którychby i stronnictwa prawicowe mogły się pomieścić“ (2/159). Że było to słuszne, Daszyński przyznaje wyraźnie: „Polska polityka wymagała zgodności wszystkich stronnictw w tak poważnej chwili. Była to **cudowna fikcja**, jedno z najtrwalszych złudzeń polskich, ta zgodność stronnictw. — — — Przytem jeszcze jeden motyw: wojna ma swoje prawa **całkiem odrębne. W wojnie armja narodowa musi mieć za sobą naród. Więc nie dziwnego, że Piłsudski nie chciał jako żołnierz być wyrazem partji, a szukał oparcia o naród.** Poparcia tego nie otrzymał i może dopiero po śmierci je otrzyma“ (160). Uwagi powyższe nabierają szczególnej wagi ze względu na to, że autorem ich jest wyznawca światopoglądu klasowego.

IV. Srokowski o „mystyfikacji“ Rządu Narodowego.

A więc nawet polityk, stojący na stanowisku klasowym, jest też zdania, że „cudowna fikcja“ warszawskiego Rządu Narodowego była nieodzowna ze względu

⁴⁾ K. Srokowski: N. K. N. Zarys historii Naczelnego Komitetu Narodowego (1923) 99 k.

⁵⁾ Daszyński nie jest tego pewien: składu Rządu Narodowego „do dnia dzisiejszego nie poznałem. Żadnego aktu tego rządu poza Piłsudskim nie dokonano; mogę zatem przypuszczać, że rząd ten nie był trwały“ (158 k.).

na decydującą rolę czynników solidarystycznych w czasie wojny. Nie mniej przekonywująca jest okoliczność, że w ostatecznej konkluzji wielką wagę tej fikcji uznaje nawet polityk, który fikcję tę początkowo zakwalifikował jako szkodliwą „mystyfikację” i „zamach stanu, tak czy inaczej maskowany”. Mówię tu o Konstantym Srokowskim. Twierdzi on mianowicie, że „kwestją autentyczności otrzymanych przez Piłsudskiego w konspiracyjnej drodze wiadomości o powstaniu rządu narodowego i o jego nominacji na „głównego komendanta” sfery Komisji Tymczasowej zaprzętały się jednak niedługo. Mimo całego sceptycyzmu co do tych wiadomości i odezów, zroszczały one jednak, że stoją wobec faktu **chwycenia przez Piłsudskiego dyktatury, wobec zamachu stanu, tak czy inaczej maskowanego**. — — — Komisja Tymczasowa pogodziła się bez trudu z „dokonanym faktem tej dyktatury”⁶⁾. Natomiast inaczej ustosunkowali się do tego przedstawiciele stronnictwa demokratycznego i konserwatywnego na konferencji z Piłsudskim. Nastrój zebranych najlepiej wyraził Wł. L. Jaworski, który — — — wyrzekł słowa: „**Nie rozumiemy was, panowie**”. Jakoż istotnie **nikt z odpowiedzialnych polityków polskich**, nawet tych, którzy byli bez zastrzeżeń zwolennikami orjentacji austriackiej, **nie rozumiał ani podstaw, ani celu zarówno wyprawy Piłsudskiego, jak też dalszego działania**. Odezwa rzekomego Rządu Narodowego wywarła wrażenie **najgorsze**. Umysły galicyjskie były a priori antykonspiracyjne, **bały się instynktownie wszelkiej konspiracji**, oczekując od niej zawsze tylko rzeczy **najgorszych**. — — — **Byłoby źle**, gdyby Rząd taki powstał. Mogło być jeszcze gorzej, jeżeli cały ten Rząd był tylko **mystyfikacją**, jeżeli od **mystyfikacji** zaczynało się całe dzieło, jeżeli w związku z **mystyfikacją** półtora tysiąca młodzieży polskiej wkroczyło już na terytorjum Królestwa Polskiego” (104) 7).

A więc — krótko i węzłowato: **byłoby źle**, gdyby Rząd Narodowy powstał — **byłoby jeszcze gorzej, gdyby był mistyfikacją**. To mocne zdyskwalifikowanie pomysłu Rządu Narodowego nie przeszkadza jednak Srokowskiemu wyznać szczerze nietylko, że „nikt z odpowiedzialnych polityków polskich (w Galicji) nie rozumiał ani podstaw, ani celu zarówno wyprawy Piłsudskiego, jak też dalszego działania”, ale też, że jednym z czynników zrozumienia to uniemożliwiających był poprostu strach. Dlatego też Srokowski uważa, że akcja ta musiała zawieść i zawiodła: „Tak wszystkie dokonane w tym pamiętnym dniu faktu **zamierzonego celu nie osiągnęły, efektu chybiły**. Władze austriackie, związane wobec Piłsudskiego tylko przepustką kapitana Rybaka i pięciuset staremi karabinami, nie były zaskoczone. Społeczeństwo, jak zwykle, nic nie rozumiało i o niczem wyobrażenia nie miało. Kierujące zaś sfery polityczne były przerażone tym nagłym obrotem sprawy” (104 n). — Nic dziwnego, że „społeczeństwo, jak zwykle, nic nie rozumiało”, skoro, jak sam Srokowski przyznaje, nawet „z odpowiedzialnych polityków polskich” też nikt nie nie rozumiał. Raz też jeszcze dowiadujemy się, że „kierujące sfery polityczne były przerażone”.

Zdawaćby się tedy powinno, że nastąpiła generalna kłapa. Tymczasem bezpośrednio po przytoczonych właśnie gniewnych dyskwalifikacjach Srokowskiego, czytamy wywody o treści wręcz odiennej: „**Niemniej jednak dokonane fakta zostały faktami dokonaniem**. Półtora tysiąca młodzieży polskiej znajdowało się już

⁶⁾ Srokowski: N. K. N. Zarys historii Naczelnego Komitetu Narodowego (1923) 103 g.

⁷⁾ Słowem „mystyfikacja” operuje również i. m. w omawianym artykule.

na polu przypuszczalnych bitew. Uczucie sprzyjało **wyobraźni**, która położenie tej młodzieży w obliczu nieprzyjaciela przedstawiała w obrazach tyle groźnych, ile **romantycznych**. Ci zaś działacze, którym na tem zależało, nie zaniebdywali niczego, aby **rozigranej wyobraźni** dostarczać coraz to nowych motywów. — — — Prasa, skazana od pierwszej chwili na absolutne milczenie w tych wszystkich sprawach, nie mogła spełniać żadnej ze swych funkcji, nie mogła ani wyjaśniać, ani mieć opinii. Czyniła to tem intensywniej plotka i niezawodna poczta pantoflowa, pracująca z nieprawdopodobną sprawnością. Zresztą typowe wojenne **kłamstwo przeniknęło całą atmosferę**. Kłamał rząd, kłamało wojsko, ludzie kłamali ludziom, kłamałi sobie samym, oczywiście w swoje kłamstwa wierząc. To bowiem stanowi niemal istotę t. zw. „nastroju“ wojennego. Sprawdziło się przysłowie, że nigdy się tak nie kłamie, jak przed wyborami, podczas wojny i po polowaniu... — **Opinia szerokich mas**, podniecana pogłoskami i wiadomościami, darzona często widokiem maszerujących oddziałów dziarskiej młodzieży, **rozogniała się coraz bardziej**. Nie czyniła ona żadnych różnic między prawdą a poezją. Ta ostatnia działała na nią bez porównania silniej. To też nacisk tej opinii na kierujących polityków potęgował się z godziny na godzinę. Zresztą także i ci politycy byli tylko ludźmi, byli patriotami zdolnymi do uczuć i skłonni puszczając wodze **wyobraźni**, pozatem zaś pod względem wtajemniczenia i rzeczywistej znajomości warunków „augurowie“ od tłumów różnili się tylko bardzo niewiele. Modyfikując powiedzenie starego Terencjusza, każdy z tych augurów mógł rzec o sobie: Polonus sum et nil poloni a me alienum puto... **Opór kierujących sfer politycznych słabł z każdą chwilą**. Zaczynały one oswajać się z myślą, że jednak potrzeba coś robić. **Parło ich do tego uczucie własne**, nagliła opinia, zaczynał za tem przemawiać zdrowy rozsądek, który niejednemu szeptał, że skoro prądu zatamować ani zmienić nie można, to trzeba popłynąć z prądem. W ten sposób fakta w dniu 6 sierpnia przez Piłsudskiego dokonane zaczęły działać siłą swego stania się“ (105 n).

V. Mistryfikacja a fikcja. — Fikcja a romantyka.

Obraz sytuacji, który Srokowski odmalował w przytoczonej właśnie cytacie, nieskończenie różni się od tego, który dał czytelnikowi bezpośrednio przedtem w swych wywodach o mistryfikacji. Zrządność i racjonalistyczne wydziwianie ustępuje tu miejsca całkowitemu wczuciu się w emocjonalne i irracjonalne czynniki, które całej sytuacji nadały niezaprzeczenie **właśnie romantyczne** piętno. „Uczucie“ i „rozigrana wyobraźnia“ tworzą obrazy „romantyczne“. Jasne jest, że wyobraźnia mogła „**rozigrać się**“ dopiero wtedy, gdy wyzwoliła się z pęt racjonalnych. Nie było to też bynajmniej zjawisko sporadyczne. Wręcz odwrotnie: to „**opinia szerokich mas** — — rozogniała się coraz bardziej“ i ta to masowa opinia i tym razem, tak jak i zawsze, „nie czyniła żadnych różnic między prawdą a poezją. Ta ostatnia działała na nią bez porównania silniej“. A więc i w tym wypadku wpływ romantyki na masy okazał się bez porównania większy, niż moc tych wskazań, na które stać było „médreca szkiełko i oko“. Prawda tak trafnie sformułowana przez Wundta („Droga“, 1935, Nr. 12, p. 1072 sq) raz jeszcze się sprawdziła w całej rozciągłości.

W sytuacji, w której poezja na „**opinię szerokich mas**“ „działa bez porównania silniej niż prawda“, niesposób jest unikać tego, że „ludzie kłamali lu-

dziom, kłamali sobie samym, oczywiście w swoje kłamstwa wierząc“. W takiej atmosferze wiara w fikcję staje się tak samo nieodzowna, jak dla ryby woda, a jeszcze bardziej nieodzowna, niż chleb powszedni. Z tą chwilą kłamstwo przestaje być kłamstwem, a mistyfikacja mistyfikacją — wszystko to przeistacza się właśnie w poezję i iluzję, lub — mówiąc socjologicznie — w fikcję. Fikcja jest to właśnie taka niezgodność z rzeczywistością, którą uszlachetnia fakt jej historycznej konieczności i historycznego posłannictwa. Ten stygmat szlachetności stanowi też o okoliczności, że między fikcją a kłamstwem i mistyfikacją zachodzi zasadnicza różnica⁸⁾. Tylko dzięki tej różnicy fikcja, iluzja i poezja spełniają swe wielkie historyczne posłannictwo. O jego ogromnej, decydującej wprost wadze dzieje dostatecznie już świadczą. Również i te dzieje dowiodły, że i fikcje Piłsudskiego posłannictwo swe spełniły. Przyznaje to przecie, między innymi, nikt inny, jak właśnie sam Srokowski: „W ten sposób fakta w dniu 6 sierpnia przez Piłsudskiego dokonane zaczęły działać siłą swego stania się“.

Ta wielka historyczna intencja, która jest sprawczynią istnienia fikcji w prawie, sprawia, że zachodzi istotna różnica nie tylko między nią a fałszem, ale również między fikcją a adwokackim wykrętem. Gdzie leży granica między jednym a drugim — nie zawsze jest łatwo wyczuć i ustalić, gdyż bardzo często różnice ilościowe i tu przeistaczają się w różnice jakościowe. Bardzo często niema na to żadnej recepty i dlatego to również często różnica między fikcją a adwokackim wykrętem należy do sfery imponderabiljów, te zaś wyczuć i poznać można zgola nie przy pomocy rozumu, lecz wyłącznie intuicji. Obok fikcji w prawie istnieją też i fikcje w polityce; z tego powodu polityka tak łatwo dialektycznie zachodzi na politykierskie wykręty i fałsze, a partyjność, nieodłączalna od polityki — na partyjnictwo.

VI. Piłsudski za fikcją rządu w okresie T. Rady Stanu.

W r. 1912 i 1914 Piłsudski operował fikcją rządu polskiego ze względu na to, że fikcja ta była niezbędna dla obrony niezależności powstającego wojska polskiego. W tym samym celu Piłsudski pragnął posługiwać się Tymczasową Radą Stanu Królestwa Polskiego nawet wtenczas, gdy już był zupełnie pewien, że jest ona tylko fikcją rządu polskiego. Mianowicie już wtedy, gdy przyszedł Naczelnik Państwa zdecydowany był zlikwidować wszelkie związki z T. Radą Stanu, twierdził jednak, że „dla wojska konieczny jest conajmniej surogat własnego Rządu“⁹⁾. Czapski (j. n.) dodaje do tego, że z wymienionego listu Piłsudskiego do Rady Stanu „przypomina sobie zwrot, iż **pomimo to, że Rada Stanu nie ma ani powagi, ani popularności, Legjony napewno złożyłyby jej przysięgę na posłuszeństwo**“.

Okoliczność tę stwierdzają również i inne ogłoszone już dokumenty: „Powtórzę tu swoje słowa z mego memoriału do ekscelencji von Beselera. Nawet Rada Stanu, **pomimo, że wtedy nie miała ona ani powagi, ani popularności, byłaby wy-**

⁸⁾ Porów. też wywody o dialektycznej metamorfozie fikcji („Droga“, 1936, Nr. 2 — 3, p. 212, § 7 III).

⁹⁾ Z listu do Rady Stanu. B. Hutten - Czapski: 60 lat życia politycznego i towarzyskiego. Wywody Czapskiego, opisujące „Aresztowanie Komendanta Piłsudskiego“, z których pochodzą powyższe cytaty, bez żadnych zmian i zastrzeżeń przedrukowuje „Gazeta Polska“ 20.1.36 p. 3 I i f. — O krakowskim N. K. N. jako „surogacie rządu“ Pisma 4/169 g, 170 g.

starczającym surogatem rządu i jestem przekonany, że nikt w Legionach nie zawahałby się złożyć jej przysięgi na posłuszeństwo, pozostawiając zupełnie jej odpowiedzialności i sojusze i formy ustroju państwowego w Polsce¹⁰⁾. Przytoczony pogląd Piłsudskiego na Radę Stanu podziela również i Czapski, który jest zdania, że położenie jej było „ciężkie i niemal tragiczne“, gdyż „z powodu zwlekającej polityki Mocarstw Centralnych straciła w społeczeństwie całą powagę“ (j. w. 4 II g).

Jasne jest, że taki „surogat rządu“ nie jest niczem innym, jak tylko fikcją rządu, gdyż tylko taką fikcją mógł być organ, który w czasie największych zmagania w dziejach miał wywaleczyć realizację niepodległości na Niemczech, które wówczas na wszystkich frontach były jeszcze zwycięskie. Fikcją taką była Rada Stanu, tembardziej, że walkę toczyć miała w imieniu społeczeństwa, o którym i Niemcy dobrze wiedziały, że w niem „nie ma ona ani powagi, ani popularności“, — i to tak dalece, że położenie jej było „niemal tragiczne“. Realnie biorąc, Rada Stanu był to tedy mniej więcej taki sam organ władzy, jak te urządzenia, o których Low pisze, że „zachowują się przez wieki po tem, gdy funkcje ich wykonywują już inne czynniki“, a które to urządzenia pomimo to istnieją nadal (wyż. „Droga“). Low dodaje też, że jest to tendencja ogólna, nie zaś tylko angielska. Właśnie ze względu na powszechność tej tendencji było też zupełnie słuszne, że „Legjony napewno złożyłyby jej (Radzie Stanu) przysięgę na wierność“, chociaż wówczas Rada ta była już conajwyżej „surogatem rządu“.

VII. Fikcja „kresowców“ w wyprawie na Wilno.

Pozytywny stosunek Piłsudskiego do fikcji ujawnia się też w rozkazie, jaki przed ponownym marszem na Wilno dał Adamowi Kocowi, dowódcy zorganizowanej przez siebie ochotniczej dywizji piechoty. Brzmienie tego rozkazu było następujące: „Macie wybrać kresowców z dywizji ochotniczej — dacie ich Żeligowskiemu. Macie dać trzy tysiące bagnetów. Będzie to operacja na Wilno“. Adam Koc odpowiada, że nie znajdzie tylu kresowców w swej dywizji. „To mi jest wszystko jedno“ — surowo odpowiada Naczelny Wódz. Płk. Adam Koc rozumie, o co idzie Wodzowi. „Rozkaz, Komendancie, dam trzy tysiące kresowców Żeligowskiemu“. I gdy Naczelny Wódz odjeżdża, gdy auto Jego znika, płk. Koc wzywa dowódcę 201 pułku, sformowanego w Warszawie. W tym pułku znajduje się również bataljon wileński. Dowódca dywizji powiada do dowódcy pułku mjr. Dojana-Surówki: „Chrzczę was z wody — brzmia jego słowa. — Mianuję was kresowcami. Mianuję was 6 pułkiem ziemi wileńskiej. Odtąd będziecie się tak nazywali“¹¹⁾.

§ 9. Teoretyczne rozważania Piłsudskiego o roli fikcji.

I. „Bajka a prawda“.

Przytoczone dotychczas fakty świadczą niezbicie o tem, że w całym szeregu momentów historycznych Piłsudski z całą świadomością posługiwał się fikcjami.

¹⁰⁾ Piłsudski: Załącznik Nr. 1 do listu do Zdzisława ks. Lubomirskiego. Pisma — Mowy — Rozkazy (1931) 4/193 g. O indyferentyzmie Legionów w sprawie formy państwa też j. w. 183 śr.

¹¹⁾ K. Wrzos: Adam Koc. „Gazeta Polska“ 14.II.36 p. 4 VI i. f.

Już sama mnogość tych faktów upoważnia do wniosku, że nie były to fakty przypadkowe, lecz że stanowiły wynik pewnego zasadniczego nastawienia historjozoficznego. Że tak jest istotnie, tego dowodzą poniższe rozważania.

Zasadniczą rolę historyczną bajki Piłsudski formułuje bardzo kategorycznie w zdaniu: „Bajka — to prawda, a prawda — to bajka“¹²⁾. Co to znaczy? Posłuchajmy: „Bajka i prawda, prawda i bajka, gdzie w bajce szukać prawdy? **A jednak są bajki o wieczystej prawdzie.** Dlaczego? Płyną one gdzieś, kiedyś, przez kogoś osnute, nie mają wyraźnego autora, **bajki, skomponowane przez jakąś prawdę życia, bajki o wieczności prawdy mówiące**, gdzieś dawniej, gdzieś za dawnych złotych, czy tombakowych czasów, kryjące jakieś czyste bóle z wnętrza serca niezastygłej jeszcze ziemi, z której **prawdy wieczyste w bajkach mówione**. I każda bajka, która wieki całe przetrwała, tysiące lat opowiadana była, jest w niej siła — **siła życia, siła prawdy**“ („Przemówienie“ j. w. 315 k.). „**Są takie bajki, co o prawdzie mówią**“ (316 g). Również i w słowach poniższych Piłsudski wyznacza bajce rolę upiększania historii w interesie prawdy, aczkolwiek nie prawdy in concreto: „Skończyć chcę **bajkę** nieco historycznie. **Ale prawda i bajka.** Poco ciernie, poco róże, królowe kwiatów i zapachów, **kult fałszywy?** Jeśli dziś wybrał styl bajkowy dla dzieci, to dlatego jedynie, że **styl bajkowy silniej w głowach pozostaje**. Mam wyraźny cel. Niech róża i jej zapachy, **niech ciernie zostają przynajmniej w historii różami i zapachami!** Niech raz fałszerstwu historii tamę położy! **Bo historia ma swoją legendę i legenda nieraz wygląda więcej, jak czysta prawda historyczna.** Przypominam sobie — w wesołych chwilach przed uwięzieniem i wywiezieniem do Magdeburga, gdym, przeczuwając trudy, szukał rozrywek, stworzyłem jeden aforyzm. Nie rozumiem, dlaczego Kościuszko, co miał nos kulawy, na portretach z rokiem każdym staje się bardziej podobny do Apollina Belwederskiego? **Falsz legendy na portretach Kościuszki daje się odczuwać. Ale moralność publiczna przeciw temu protestować nie zdoła!** A przecież ten Kościuszko, jak każdy Kopciuszek, miał róże i ciernie, miał zawistne siostry i macochy. **Lecz tu fałsz idzie in plus. Idzie w kierunku upiększania, idzie w kierunku tej sprawiedliwości publicznej.** Legenda mówi swoje“ (328 n).

W przytoczonych właśnie ustępach Piłsudski zarówno wielokrotnie stwierdza historyczną rolę „kultu fałszywego“, to jest właśnie kultu fikcji, jak i trafnie wskazuje przyczyny, dla których kult ten jest uprawiany. Na rolę historyczną fikcji, lub inaczej legendy, wyraźnie wskazują takie zwroty, jak „historja ma swoją legendę i legenda nieraz wygląda więcej, jak czysta prawda historyczna“, „Falsz legendy na portretach Kościuszki daje się odczuwać. Ale moralność publiczna przeciwko temu protestować nie zdoła“, gdyż legenda ta czyni zadość ogólnej potrzebie narodu — potrzebie ideału i wiary w człowieka, który ideał ten ucieleśnia. Prawdy poszczególne i konkretne, dla tej potrzeby, są obojętne (Wundt. Wyż. „Droga“ 1935, 12.1073 § 23; 1936, Nr. 1 p. 75).

II. Piłsudski o różnicy między fikcją a kłamstwem.

Piłsudski trafnie wskazuje właśnie, że ta uszlachetniająca metamorfoza fałszu i mistyfikacji w fikcję dokonywa się wskutek tej okoliczności, że „fałsz idzie tu in plus, — idzie w kierunku sprawiedliwości publicznej“, a więc że rodzi

¹²⁾ Piłsudski: Przemówienie na zjeździe Legionistów w Warszawie (9 sierpnia r. 1925). Pisma 8 (1931) 319 śr.

się pod wpływem moralnie usprawiedliwionej pobudki. To samo stwierdza też zdanie: „I bajka istotnie, ta z wiecznej krynicy **prawdy** wysnuta, **co moralności publicznej strzeże**, ta wieczna bajka o Kopciuszku“ (322 śr; wyż. ad Srokowski).

Równie trafnie Piłsudski wskazuje przyczynę, dlaczego uprawianie „kultu fałszu“, legendy, bajki, uludy, iluzji, t. j. ogólnie mówiąc, właśnie kultu fikcji, cel swój osiąga: „Styl bajki silniej w głowach pozostaje“; „w głowach“ — znaczy, w danym wypadku, w pamięci — a to znowu dzieje się dlatego, że przeżycia uczuciowe pozostawiają bardziej trwałe ślady, niż przeżycia wyłącznie rozumowe. Posługiwanie się fikcją oznacza tedy odwoływanie się do uczuć, i to nawet wbrew rozumowi, a to jest właśnie romantyzm. Również i **tu raz jeszcze wyraźnie ujawnia się najściślejszy związek, zachodzący między romantyką a fikcją**. Na przyczynę, dla której uprawia się kult fikcji, Piłsudski sam wyraźnie zwraca uwagę w słowach następujących: „**Mam wyraźny cel**. Niech róża i jej zapachy, niech ciernie zostają przynajmniej w historii różami i zapachami“. Historja, która „ciernie“ uważa za „róże i zapachy“, operuje jawną fikcją, ale ta fikcja jest właśnie fikcją, nie zaś zwykłym kłamstwem lub mistyfikacją (wyż. ad Srokowski).

I ta różnica sprawia, iż fikcja nie tylko że jest dziejowo czynna, ale, co najważniejsze, cel swój osiąga: „**Prawda bajki się ziści**. Bo tam, gdzie Kopciuszek, tam jest i macocha, a tam, gdzie macocha, i siostry wyrodne. Leją się łezki cudne, perliste i z policzków dziewczęcych bije strumień prawdy wieczystej. **Ludźkość tryumfować musi**, by łez strumieniem, policzków oburzeniem **moralności publicznej pilnować**“ (8/323 g.). „Historja taka była, a co się stało — **nie odstanie, nie pomoże nawet Bóg! Czy był pijany, oszukany — wszystko jedno, fakty są**. Bajka jest prawdą i prawda jest bajką“ (325 śr). Związek skuteczności fikcji z jej moralnością jest tu zaznaczony bardzo wyraźnie.

III. Rola symbolu. — Symbol a fikcja.

Roli fikcji dotyczą też te wywody Piłsudskiego, w których mowa jest o historycznej doniosłości symbolu. Oto jeden z wielu ustępów: „Nie chciałem być niewolnikiem, szukałem swobody: byłem dzieckiem swobody — i dla niej, **dla tej swobody mocy szukałem**. A **mocy bez siły nakazu i przymusu nigdzie nie znalazłem**. I w tym **wieczystym problemacie**, w tej sprzeczności demokracji i woj-ska, byłem długo chowany. Problem ten ujmowałem w ręce, nie czując wstydu ani niechęci, bo byłem dzieckiem swobody. Ale sprzeczności nakazu i swobody dotąd nie rozwiązałem“¹³⁾. Sposób wyjścia z tej sytuacji Piłsudski widzi znowu w fikcji: „Gdy tysiące razy dzieje problemu w myśli przerzucałem, gdy rażących sprzeczności nie mogłem rozwiązać, szukałem **symbolu** tej potęgi **niezbadanej**, która ludziom posłuszeństwo narzuca silniej, niż zwyczajna moc nakazu. **Sym-bolista** duszy ludzkiej — **jakaż ona jest głęboka, jak wiele jest prawdy w cy-nicznym określeniu pana wojny, wielkiego Napoleona: „Dajcie mi guzik, a zmu-szę ludzi żyć i umierać za ten guzik**“ — tajemnica symbolu wieczystego nieba, czy nie w niej znajdziemy rozproszenie zgrzytu, usunięcie lub złagodzenie problemu“ (j. w. 12 k; o „sile symbolu“ też 14 śr).

¹³⁾ Piłsudski: „Demokracja a wojsko“. P i s m a 8/12.

Jasne jest, że **guzik**, dla którego ludzie żyją i umierają, jest nie tylko symbolem wartości, ale prosto fikcją. Piłsudski i tutaj nie tylko stwierdza, że fikcja ta odgrywa wielką rolę w historii, ale jednocześnie trafnie ustala fakt, że dzieje się to po to, aby „znaleźć w niej rozproszenie zgrzytu, usunięcie lub złagodzenie problemu“, dotyczącego wyjścia ze sprzeczności między wolnością a przymusem władzy państwowej (w danym wypadku — władzy wojskowej).

Oto inny usteęp, w którym wyraźnie mowa jest o tem, że symbol sprawić ma, iż masy rządzone wierzyć będą w istnienie tego, co faktycznie nie istnieje, i że symbol zadanie to do czasu spełnia: „Gdy ongi władzę królewską w purpurę i złoto strojono, **nicość ludzką temi barwy pokrywając**, ściągano aż z nieba symbol wieczności, **by nicość nie razila**. Potęga symbolu tego tak była wielka, że pod gronostajowym płaszczem królów ludzkość wieki żyła. Gdy oficer pruski z dumą Kaiserrock nosił, **potęga symbolu** była na nim wryta. Czy demokracja symbolu nie znajdzie? Czy ma tylko kamizelki i krawaty rozchełstane i nieokiełznaną swobodę szargania wszelkiej powagi? Radzę się namyśleć, dzieci swobody. Wszędzie symbolem demokracji od jej początków jest to, co jest prawem. Usiłuje ona dać **surogat siły**, dając jako symbol prawo wiszące nad ludem“ (j. w. 13 g.). Fikcyjność autorytetu, w szczególności królewskiego, Piłsudski stwierdza w momentach następujących: 1) Wywodzone ten autorytet z nieba, chociaż stamtąd nie pochodził. 3) Usiłowano wesprzeć go purpurą, chociaż ta barwa wartości **moralnych** nie reprezentuje, tak samo jak każda inna. 3) Zadaniem purpury było „pokrywanie nicości ludzkiej“. 4) Demokracja również operuje **surogatem siły** — prawem.

W przytoczonej cytacie Piłsudski trafnie stwierdza, że demokracja nie docenia roli, jaką symbole odgrywają w zwiększaniu autorytetu: „Radzę się namyśleć, dzieci swobody“ (13 g.). „Dziś błędem jest demokracji, że sędziów tylko w skromne czarne togi ubiera. Czy jest to symbol wystarczający? Czy **zimny blask grzeje i pociesza**? Czy nakaz i mus z sobą prowadzi?“ (13 k.). W zdaniu ostatniem Piłsudski słusznie też ustala, że symbolika odwołuje się do uczuć; **jest to też moment, który od symboliki również prowadzi do romantyki**. Ten to czynnik emocjonalny sprawia właśnie, że symboliki nie docenia racjonalizm, którego istota polega na prymacie rozumu i na niedocenianiu roli uczucia.

IV. Pierwiastki fikcyjne w honorze.

Fikcyjna symbolika jest też jedną z przyczyn roli, jaką w historii odgrywa honor: „Czy są inne jakieś **symbole** (oprócz prawa — W. M.), które w historii, jak cement, używane były jako spoidło dla budowy demokracji? Gdy mowa jest o wojsku, jeden symbol jest widoczny. Gdy władza królewska się chwieje, gdy nadchodzi nowa epoka, zamiast symbolów, które z nieba brały swój początek, zostaje **surogat cnoty: honor**. Honor — to bóg wojska (porów. też 74, 318), który niesie nakaz; ma taką siłę uderzenia, że śmierć wywołuje. — — — Honor jest potęgą. I wszystkie związane z nim zwyczaje, **śmieszności nawet są upiększeniem życia** helotów demokracji, dzieci nakazu, żołnierzy i ich wodzów“ (13 n).

Piłsudski stwierdza tu, że konieczność posługiwania się fikcją — symbolem zachodzi w danym wypadku ze względu na to, że „władza królewska się chwieje“; znaczy to, że władza ta — przynajmniej częściowo, pod względem autorytetu —

nie jest już tem, za co chce żeby ją uważano, a więc częściowo jest właśnie fikcją. Poza tem Piłsudski słusznie konstatuje istnienie symbolicznych momentów honoru, — o tyle zaś, o ile symbol jest fikcją — również i fikcyjnych. Przypomnieć wystarczy fikcyjność takich symbolów, jak purpura lub napoleonowski guzik, gdyż mają one na celu wpojenie w masy przekonania, że istnieje coś co faktycznie nie istnieje.

Zupełnie tak samo jak F. A. Lange (wyż. 78), Piłsudski zwraca uwagę na to, że w honorze nawet jego śmieszności służą do „upiększania życia“. Tę samą rolę upiększania życia wyznacza Piłsudski śmiechowi: „Żywiołem szczęścia jest śmiech, a im bardziej jest pusty i szczery, im bardziej nazywamy go dziecinny, tem więcej jest w nim szczęścia, tem więcej jest w nim nieba na ziemi“¹⁴⁾.

Piłsudski rolę fikcyjnych momentów w honorze ujmuje zupełnie tak samo, jak Montesquieu. Zdaniem jego, „honor, to przesąd (préjugé) każdej osoby i każdego stanu“, bynajmniej nie jest tożsamy z cnotą, gdyż w monarchji „zajmuje miejsce cnoty“¹⁵⁾. Geneza jego jest czysto egoistyczna, gdyż „naturą honoru jest, iż żąda wyróżnień i odznaczeń“ (III, 7 p. 42). W monarchji „honor porusza wszystkie części ustroju państwa; spaja je siłą swego działania, dzięki niemu każdy dąży do dobra powszechnego, mniemając, iż goni jedynie za własnym interesem“ (III, 7, p. 43). O irracjonalności honoru świadczy, że „z natury skłonny jest do dziwactw“ (III, 11, p. 47). „Dziwaczny“¹⁶⁾ ten honor sprawia, że cnoty są jedynie tem, czem on chce i jak chce“ (IV, 2, p. 51).

Wreszcie Piłsudski specjalnie akcentuje rolę honoru w życiu helotów **demokracji**. Dlatego też słusznie woła: „Strzeżcie się, panowie demokraci, go naruszać. Ostatni cement pęka, ostatnia więź pęka“ (14 g). Należy też przypomnieć, jak wielką rolę w oddziaływaniu Hitlera na masy odgrywa odwoływanie się do honoru Niemiec, któremu liczne przepisy Traktatu Wersalskiego niewątpliwie za-
dały dotkliwe ciosy.

V. Piłsudski o roli symboliki w prawie. — Symbolika a kwestja reformy nauczania prawa.

Również bardzo ważne jest to, co w przytoczonej cytacie Piłsudski mówi o prawie jako symbolu: „Wszędzie **symbolem** demokracji od jej początków jest to, co jest **prawem**. Usiłuje ona dać surogat siły, dając, jako symbol — **prawo**, wiszące nad ludem. Prawo usuwa kaprys indywidualny; usuwa osoby, wyraźne twarze ludzkie, nie darząc ich nigdy momentem wieczności, czyniąc je zawsze reprezentantem czegoś, każąc im słuchać wyborców, dając **abstrakcyjny symbol**. **Prawo gronostaje królewskie ubiera**. Koronę złotą na głowę mu kładą. I dziś błędem jest demokracji, że sędziów tylko w skromne czarne togi ubiera“ (13 śr; porów. też wywody o „koronie“ i „purpurze“). Rolę symboliki w prawie Piłsudski akcentuje też w zdaniu następującem: „Gdy życie biorę — — —, gdy tych rzeczy szukam, które mają **siłę symbolu** — nie mogąc rozwiązać problemu, wa-

¹⁴⁾ Piłsudski: „Płyty gramofonowe“. Pisma 8/70.

¹⁵⁾ Montesquieu: *De l'esprit des lois* (1748) III, 6; przekład polski, p. 42.

¹⁶⁾ W oryginale „bizarre“ — może znaczyć nawet śmieszny, lub też kapryśny, dziwak.

hając się pomiędzy miłością dla siły a miłością dla swobody, **prócz prawa i honoru nie znajduję. Prawo i honor, honor i prawo — cement to może wystarczający**“ (14 śr.).

*

W wywodach powyższych wielokrotnie była mowa o tem, jakimi mistrzami w prawotwórczym posługiwaniu się fikcjami i symbolami dziś są Anglicy, a ongi byli Rzymianie (wyż. Nr. 2—3, p. 197, III, 206 i f., 212). Dlatego to **należycie traktowany** wykład prawa rzymskiego musi być podstawą i wstępem wszelkiego nauczania prawa i wszelkiej realnej polityki. Z tego to powodu wykład ten bezwarunkowo powinien być utrzymany na roku pierwszym. Nauczanie prawa rzymskiego w „latach późniejszych“¹⁷⁾ byłoby typową musztardą po obiedzie. Projekt ten zrodził się właśnie jako wynik tendencji wybitnie logicznych, racjonalistycznych i antyhistorycznych. Świadczy o tem następujące pytanie Znamierowskiego: Czy prawnik praktyk „historję prawa uważa za podstawę nieodzowną studjów i czy z niej właśnie zaczerpnął te schematy pojęciowe, które uważa za najważniejsze narzędzie myślenia w swej działalności zawodowej“ (3.V). Nie uważać historii prawa „za podstawę nieodzowną studjów“ prawniczych może tylko ten, dla kogo proces historyczny zaczyna się od dzisiaj, albo też ten, dla kogo proces historyczny jest bez wpływu na kształtowanie się, a więc i na rozumienie prawa teraźniejszości. Wiadomo, że wyznawców szczególnie ostatnich pomysłów w prawie nigdy nie brakowało i nadal ich nie brakuje (wyż. Nr. 1 p. 84 sq). Jeżeli prawnik nie z historii prawa „zaczerpnął te schematy pojęciowe, które uważa za najważniejsze narzędzia myślenia w swej działalności zawodowej“, to z czego? Pozostaje tedy tylko logika, do której Znamierowski ciągle w artykule swym powraca, a więc w gruncie rzeczy czysto racjonalistyczna „zabawa w pojęcia“. Skuteczną odtrutką na to jest tylko twórcza symbolika prawnicza, na którą też Piłsudski świetnie zwraca uwagę, a wraz z tem te systemy prawnicze, które symboliką prawniczą posługują się w sposób mistrzowski. Wśród nich jedno z najpocześniejszych miejsc zajmuje prawo rzymskie. Fakt ten dawno już w sposób nader bystry stwierdził Savigny¹⁸⁾.

VI. Dialektyczne zachodzenie fikcji na kłamstwo.

Piłsudski trafnie też ujmuje fakt, że i fikcja lub iluzja, jako czynniki dodatnie, jednak dialektycznie zachodzą na zjawisko ujemne. Oto odnośny ustęp: „Gdy mówię o ciężkim problemacie dziejowym — demokracja i wojsko, siła i swoboda, działanie nakazu i brak nakazu — gdy mówię o tym problemacie, który się mścił na ludzkości strumieniami przelanej krwi, to wybieram kolory zgodnie z chęcią unikania zgrzytów. Biorę kolor lazuru nieba, kolor wieczności, obojętnej na męką ludzką — i drugi kolor, zieleni, kolor życia, **kolor nadziei, głupoty ludzkiej i tęsknoty**“ (3 n.). W przytoczonym ustępie pozytywne momenty fikcji — nadzieja i tęsknota, dialektycznie zachodzą już na swą antytezę — głupotę, mia-

¹⁷⁾ Proponuje to np. **Znamierowski**: „Reforma studjów prawniczych“. „Gaz. Pol.“ 6.IV.36 p. 3 III. Żywi on też wątpliwości co do tego, co praktykowi prawnikowi „w szczególności dało prawo rzymskie w pierwszym roku nauczania“? (3.IV).

¹⁸⁾ **Savigny**: „Vom Beruf unserer Zeit f. Gesetzgebung u. Rechtswissenschaft“ (1814) § 2 p. 10 i. f. Obszernie o tem **Maliniak**: *Żródła kryzysu w konstytucjonalizmie*. „Gaz. Sądowa“, 1926, 48. 656 nn.

nowicie na tę formę nadziei, która nie jest już twórczą podniętą, lecz, zgodnie z przysłowiem — matką głupich: „Muszą być różne rzeczy komuś skradzione i musi być coś gdzieś upiększone. **Lecz wszystkiemu jest miara**“¹⁹⁾. W zdaniu, że „wszystkiemu jest miara“, Piłsudski wyraźnie stwierdza, iż poza pewną miarą dopuszczalne upiększenie staje się niedopuszczalnym fałszem, albo poprostu głupotą, a więc że to przeistaczanie się jakościowe iluzji w kłamstwo jest skutkiem zmian tylko ilościowych. Piłsudski trafnie tedy ustala ów charakter dialektycznych metamorfoz ilości w jakość. Dodać należy, że ta metamorfoza dopuszczalnego w niedopuszczalne zależna jest też od intencji, w jakiej owo upiększenie zachodzi.

„Prawda bajki się ziści. Bo tam, gdzie Kopciuszek, tam jest i machocha, a tam, gdzie macocha, i siostry wyrodne. Leją się łezki cudne, perliste i z policzków dziewczęcych bije strumień prawdy wieczystej. Ludzkość tryumfować musi, by łez strumieniem, policzków oburzeniem moralności publicznej pilnować. A więc są kule i referaty. A więc jest i krew, i atrament, są wojaki i kanclerskie głowy. **A gdzieś w niebie wagi wielkie stoją** i gdzieś na wagach losy Kopciuszka świata się chwieją. Wagi wielkie, **wagi boskie**. Na jedną wagę idzie pot i krew, idą róże i ciernie, **idzie bajka prawdy skrzydlata**, a na drugą wagę idą kanclerskie głowy, idą referaty, atrament i smród. Bo gdzie woń róż, to — prawdę mówiąc — jest woń kloaki, cendryllonie zatracony — bajka i prawda, kwiaty i ciernie, burdel i kurwy, szpicle i oberszpicle. Reklama i majtałasy, sukienki w górę, tan się zaczyna. Pan bogaty i możny. Czy marka, czy koronka — wszystko jedno... **Bajka musi iść i bajka idzie niedługo**“ (Przemówienie j. w. 8/323 g.). „A gdzież referaty, gdzież atramenty, gdzie taniec i majteczki? Gdzie szpicelki kochane, kurwy urodziwe?...²⁰⁾ **A sen się iści** — — a bajka się iści — a chwała idzie“.

¹⁹⁾ **Piłsudski:** „Przemówienie na zjeździe legionistów w Warszawie (1925)“. P i s m a 8/331 śr.

²⁰⁾ Porów. też 320 k, 321 g, 323 kk, 324 g, 328 g, 328 k.

S Z T U K A

SZTUKA ŁOTEWSKA W TOWARZYSTWIE ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH

Po pierwszym, niezwykle mocnem wrażeniu, jakie na mnie wywarło męskie, zdecydowane i celów swych świadome malarstwo łotewskie, wybrałem się po raz drugi do Zachęty, by skontrolować poprostu samego siebie: czy aby nie zbyt pohopnie uległem sugestji tej niezwykle efektownej i fascynującej sztuki. W malarstwie bowiem, więcej może aniżeli w innych sztukach, czar powierzchownej, ale zręcznie zaaranżowanej estetyki pokrywa często brak głębszych wartości artystycznych i sumiennego, autentycznego stosunku artysty do sztuki wogóle. Wszak jeszcze dzisiaj istnieją sprawozdawcy artystyczni, którzy entuzjazmują się... malarstwem Styków! A wystawa tego rodzaju, co łotewska, może być prawdziwą zasadzką na recenzenta. Owe trzy czy cztery dziesiątki tysięcy cudzoziemskich malarzy w Paryżu, profitujących z genjuszu Francji i czujących się tam jak u siebie w domu, dają nieraz w swej „École de Paris” tyle samo paryskiej rafinady, ile dowolności frazeologicznej i czczego sybarytyzmu malarskiego, bez bliższego współżycia z istotą współczesnej moderny francuskiej. A malarstwo łotewskie ulega właśnie wpływom tej ostatniej, ba! czasami nawet poddaje się im, z czego jednakowoż bynajmniej nie wynika, by nie miało własnego oblicza rasowego. Bo wpływy — to nie naśladownictwo! Sztuki całkowicie wolnej od obcych wpływów niema, a chodzi tylko o to, by owe wpływy były dobre — nic więcej. A gdzież mamy szukać owych korzystnych podnieć, jeśli nie we wspaniałej twórczości Delacroix, Cézanne’a, Renoira i tylu innych mistrzów, owych słupów granicznych na rubieżach dwóch epok?

Niemcy, jak wiadomo, niechętnie zwykli przyznawać wyższość kulturalną swym zachodnim sąsiadom; dlatego też warto tutaj zacytować zdanie znanego niemieckiego uczonego, Woermanna, autora monumentalnego dzieła *Geschichte der Kunst*, jednego z najważniejszych historyków i historjografów plastyki, który powiada: „Wszystkie fazy rozwoju sztuki europejskiej XIX w., od neoklasycyzmu począwszy, dokonały się w pierwszym rzędzie w malarstwie francuskim, to bowiem, co Francja wzięła w tym okresie od sąsiadów — nawet od Anglików, jest znikome wobec tego, co sama dała innym narodom; ona stała się mistrzynią i przewodniczką Europy”.

W przeciwieństwie do współczesnej sztuki polskiej, w malarstwie łotewskim kierunki pochodne od impresjonizmu nie odgrywają żadnej poważniejszej roli. Wszystko przemawia za tem, że Łotysze przezwyciężyli impresjonizm, ale — podobnie jak w swoim czasie nasi formiści — nie wyrzekli się go zupełnie. Szanując zasady malarstwa wielkiego Cézanne’a, artyści łotewscy kładą głównie akcent na kompozycję obrazu, oraz na for-

mę wyrażoną kolorem. Przy swych usiłowaniach jaknajwiększego nasycenia formy wartościami plastycznymi i kompozycyjnymi nie cofają się oni nawet przed deformacją i dekoloryzacją, stając w ten sposób w dość bliskim powinowactwie z głośną swego czasu grupą artystów francuskich „fauves” (t. j. „dzicy”). Otóż jednym z wybitniejszych przedstawicieli tej grupy był znany dawniej sportsmen, dzisiaj głośny malarz francuski, M. Vlaminck, z pochodzenia Holender. Wpływy tego artysty na młodsze pokolenie są zaiste olbrzymie, a wśród malarzy łotewskich istnieje cała grupa świetnych kolorystów, którą nazwaćby można „szkołą Vlamincka”. Należą do niej: subtelny i harmonijny w barwie E. Vardaunis („Ulica na przedmieściu”), mocny i nieledwie brutalny J. Liepins („W doku”, „Martwa natura”), niezwykle efektowny w zestawieniach czystych kolorów A. Artums („Martwa natura”), dalej V. Kalnrose, A. Skride i błyskotliwy, niezmiernie wirtuozowski w swej czarującej kolorystyce L. Svemps („Kwiaty”).

U wszystkich tych malarzy dominuje wprawdzie na obrazie kolor, ale nie kosztem formy malarskiej i waloru (jak to widzimy poczęści u naszych postimpresjonistów). Łotysze wychodzą tutaj z przedmiotu nasyczonego barwą, z jego materji, a kolorystyczne kontrasty ujmują w jedność nasyconą przeważnie jakimś ogólnym tonem. Do głosu przychodzi więc tutaj nie tylko kształt przedmiotu, ale także jego cielesność, jego pełnia, jego wartość przestrzenna. Ogólną harmonję kolorystyczną uzyskują oni najczęściej przez przeciwstawienie tonom szarym i załamanym — żywych akcentów barwnych, które jako puenty kolorystyczne grają wśród tych szarości jak drogie kamienie na tle starych, zaśnieżonych bronzów. Szczególnie w malarstwie Liepinsa i Svempsa, artystów o niezwyklej temperamencie malarskim, kompozycja barwna uzyskana nietylko przez kontrasty, ile przez bogactwo tonów, stwarza wizję malarską o niezwykle wyszukanej kolorystyce. Każda położona plama barwna ma tu powagę szczerzego wysiłku, a szeroko, po mistrzowski stosowane pociągnięcia pędzla wzbogacają powierzchnię obrazu, która mieni się, wibruje, przywołując na pamięć wirtuozostwo techniczne Vlamincka, zwłaszcza z pierwszego okresu twórczości tego głośnego już dzisiaj malarza.

Poza tem znaczna ilość malarzy łotewskich kontynuuje dosyć już oklepany postimpresjonizm rosyjski, mając tutaj na czele nestora sztuki łotewskiej, V. Purvītisa, profesora ryskiej Akademji Sztuk Pięknych, który wywarł niemały wpływ na młodsze pokolenie. Pejzaże Purvītisa są jednak samodzielne jako dobór współdźwięków kolorystycznych, o ściśnionej gamie niebieskiego, czerwonego i zielonego. Do tej grupy należą również J. Cielavs, E. Gederts, L. Liberts, A. Strals, a poczęści i akademicki Varslavans. Bliższy naszym malarzom okazuje się K. Ubans, malujący w niebieskiej gamie tonów ciepłych i zimnych, oraz A. Egle i O. Skulme, których malarstwo zdradza głębsze studia nad sztuką holenderską XVII stulecia.

Większość tych malarzy — to ludzie bardzo młodzi, i dlatego ich nieprzeciętna kultura malarska, ich poczucie rytmu kolorystycznego, oraz niezwyklej emocjonalność i prostota w budowie obrazu dają tak wiele do myślenia znawcom i miłośnikom sztuki.

K. Winkler

K S I A Ż K I

DWIE MONOGRAFJE O HITLERZE

Niemal równocześnie ukazały się w języku niemieckim, nakładem firm zagranicznych, dwie monografie o kanclerzu Rzeszy Niemieckiej, Adolfie Hitlerze. Książki przeciwników, ale niemniej przeto niezmiernie interesujące. Dzieło Konrada Heidenenosi tytuł: **Adolf Hitler** i podtytuł „okres braku odpowiedzialności”, natomiast książkę Rudolfa Oldena zdobi tylko nazwisko Hitlera.

Biografia stanowi osobny dział historii — dział bezsprzecznie trudny, ale niezmiernie ponętny. W biografii bowiem historyk może wykazać nie tylko swoją znajomość materiału ściśle historycznego, ale ma również możliwość popisu z dziedziny psychologii, nie mówiąc już o literaturze. Stąd niektórzy historycy, rozmiłowani jedynie w zestawianiu chronologicznym wypadków, uważają biografów historycznych za literatów historii, niemal za literatów i poetów w ogóle, a więc za ludzi, nie godnych chwalebego miana naukowców.

Nie bardziej fałszywego: historia, żywa historia, żyje znacznie lepiej w biografjach, aniżeli w nudnawych i bezdusznych zestawieniach chronologicznych. O ile więcej nauczo się naszej historii na biografjach Szymona Askenazego, aniżeli na podręcznikach! Istnieje przekonanie, że historia zaczyna się dopiero wtedy, kiedy wydarzenia należą do przeszłości, kiedy brak już aktorów danego wydarzenia, oraz innych rekwizytów, np. zainteresowanych bezpośrednio ludzi. Wydaje się, że jest to niesłuszne. Historia toczy się, odbywa się w każdej chwili. Wątpliwa, co najwyżej, jest wartość poszczególnych wydarzeń dla potomności; jednak żadną miarą nie przesądzają o wartości tych zjawisk dla nas współczesnych. Z dozą pewnego tylko prawdopodobieństwa możemy przypuszczać, co pozostanie po nas trwale. Błędy są tutaj bar-

dzo a bardzo możliwe. Historia — to znaczy spokojna, beznamiętna ocena przeszłych wydarzeń sine ira et studio; ale czy istnieje naprawdę stosunek bezprzedmiotowy? Czy ma on jakąś wartość? Zastanawiamy się nad tem nie od dziś. W związku z tem powstaje również zagadnienie obiektywizmu. Oczywiście, obiektywizm jest warunkiem niezbędnym w każdym badaniu. Ale co to jest obiektywizm? Tutaj już poglądy się rozchodzą. Heiden w wstępie do swojej książki pisze: „Obiektywność nie oznacza braku stanowiska. „Bohater“ niniejszej książki nie jest ani nadczłowiekiem ani straszidłem, lecz bardzo interesującą jednostką naszych czasów i, biorąc rzecz cyfrowo, największym wzburzcielem mas w dziejach świata“. Jak widzimy, już na wstępie autor biografii deklaruje, że bynajmniej nie będzie rejestrował jedynie wypadków, szczegółów życia „bohatera“ swej książki.

Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że zwolennicy jakiejś postaci, kreśląc ją, tracą granicę przyzwoitości. A więc w ich oczach postać jest bez błędu, bez jakiegokolwiek skazy, ze spiżu odlana, w granicie wykuta. Czasami zresztą wystarcza odpowiednia rejestracja wydarzeń, by wywołać wrażenie wspaniałości, nieomyślności i wielkości bohatera. Metod posiadamy w tym względzie wiele. Jeszcze inną, bardzo rozpowszechnioną metodą pisarstwa historycznego jest obiektywizm pod maską panegiryzmu. Fakty, niestety, można podciągać. Rzeczy niewygodne można przemilczeć, nie mówiąc już o tem, że fałsz jest też metodą. Skala pisania jest olbrzymia. Kiedy współcześni piszą o jakiejś jednostce swojej epoki, kierują nimi względy nie tylko naukowe, a już najmniej myślą o abstrakcyjnym l'art pour l'art. Zawsze natomiast składają w danym wypadku ofiarę na rzecz wymagań swoich współczesnych. Jedni pragną dokładnie poznać życie swoje-

go bóstwa, ideału, inni kolekcjonują wszystkie dane, by zwalczyć swojego przeciwnika; wreszcie — trzeba tworzyć legendę dla jakiegoś przywódcy. Jedynie o postaciach bezspornych, o jakichś badaczach, odkrywca, pisze się kilka beznamiętnych stron, składa się im wyrazy zasłużonego uznania. Ale nie o takich w tej chwili mówimy.

Moda na jakąś jednostkę stwarza podaż na prace o niej. Monografij o kanclerzu niemieckim jest bardzo wiele. Charakter autobiograficzny ma jego książka **Mein Kampf**, biblia narodowego socjalizmu. Najwcześniej ukazały się, oczywiście, notatki biograficzne dla użytku propagandy; one są też najliczniejsze. Później dopiero zaczęli się nim zajmować inni. Materiał badawczy jest stosunkowo bardzo duży. Posiadamy więc bardzo wiele bezpośrednich wypowiedzeń, znamy jego taktykę, metody postępowania, działalność; istnieje poza tem cały szereg ludzi z najbliższego otoczenia, którzy przy różnych okazjach dorzucili coś nie do charakterystyki postaci Hitlera.

Zaznaczyliśmy już na wstępie, że biografje niektórych czołowych mężów — to zasadniczo dzieje danego okresu, epoki, względnie państwa czy środowiska. Odnośnie do Hitlera, rozciągnięcie jego osoby na Niemcy współczesne jest zapewne całkowicie uzasadnione. Rozumiemy przez to, że zarówno dla nakreślenia sylwetki kanclerza Rzeszy, jak i dla zrozumienia tej postaci, jej rozwoju i działalności niezbędna jest dokładna znajomość historii ostatnich lat Niemiec, że tylko na tle dziejów Niemiec można narysować Hitlera i że tylko na ich tle mógł powstać. Jeśli zaś chodzi o dzieje partji narodowo - socjalistycznej, która z kolei jest wyinkiem ogólnej historii Rzeszy Niemieckiej, to można śmiało powiedzieć, że bez Hitlera partja nie byłaby tem, czem jest, a więc powiedzenie: partja narodowo-socjalistyczna — to Hitler, jest całkowicie słuszne.

Postać kanclerza Hitlera interesuje i intriguje niezmiernie zarówno zwolenników jak i przeciwników. Powiedzmy wprost: tych ostatnich znacznie więcej. Zwolennicy bowiem przyjmują go, poddając się sugestji jego słów; nie analizują go. Przyjmują go wraz z tysiącami zmianami jakie w nim zachodzą, nawet bez zdawania sobie sprawy, że przecież kiedyś sobie coś innego po nim obiecywali, że z innych powodów stali się jego zwolennikami. Tyczy się to mas. Poszczególne jednostki, indywidualności przeżywają naturalnie swój stosunek do Hitlera nieco inaczej; stąd przecież mamy ludzi, którzy przy-

byli, i takich, którzy odeszli, albo musieli odejść.

Przeciwnik chce poznać tajemnicę powodzenia tej postaci. Nie może, lub nie potrafi zrozumieć, w jaki sposób półinteligent, człowiek bez jakiegokolwiek wykształcenia, bez wiedzy, szary człowiek z tłumem, nieznanym żołnierz wojny światowej mógł w przeciągu kilkunastu lat, bez rewolucji społecznej, stanąć na najwyższym stanowisku w wielkiem państwie, opanować milionowe masy i stać się dla nich alfą i omegą — już nie człowiekiem, ale jakąś nadziemską, opiekuńczą, zbawczą i nieomylną postacią. I tutaj rozpoczyna się błąd krytyków. Piszą przecież (powiedzmy sobie prawdę) swoje książki przeważnie dla przeciwników — chociażby dlatego, że zwolennicy w tej chwili, nawet przy najlepszej woli, nie mogą czytać tych prac ze względów od siebie niezależnych; nie trzeba ich przekonywać, że Hitler nie jest wiernym przyrzeczeniom, że zdradził swoich przyjaciół, że nie wykonywa programu partyjnego, że przeczy sobie samemu i t. p. Nigdy nie byli oni hitlerowcami, a więc jest im w zasadzie obojętne, czy Hitler jest aniołem czy diabłem. Czytelnik niezainteresowany bezpośrednio, t. zn. czytelnik zagraniczny, który wprawdzie może mieć i ma taki czy inny stosunek do ruchu hitlerowskiego, chce narysowania postaci, jej wytłumaczenia. My szukamy odpowiedzi na to, jak to się stać mogło, by... i t. p., oraz dlaczego tak się stało. Wzajemne porachunki osobiste, sprostowania i inne tego rodzaju wycieczki mają dla nas znaczenie jedynie wyrazistszego podkreślenia rysunku.

Obie wymienione monografje mogą służyć za klasyczny przykład dwóch zupełnie odmiennych metod pisania. Heiden jest znakomitym, zapewne bezkonkurencyjnym znawcą dziejów narodowego socjalizmu. Bezpośrednio przed objęciem władzy przez Hitlera ukazała się jego pierwsza obszerna książka, właśnie **Historja partji narodowo-socjalistycznej**; ubiegłego roku wydał **Narodziny Trzeciej Rzeszy**, wreszcie ostatnio opuściła prasę jego monografja o dyktatorze Rzeszy. Mamy więc obraz zainteresowań autora. Jest to spec od narodowego socjalizmu, człowiek, który od lat, od narodzin partji narodowo-socjalistycznej nią się zajmował i jej poświęcił całą swoją działalność pisarską.

Konrada Heidena można śmiało postawić w szeregu wielkich pisarzy politycznych, pierwszorzędnych historyków współczesności. Jako badacz jest niezmiernie dokładny, można powiedzieć: drobiazgowy. Nie dba o tanie efekty, nie gromadzi żadnych wypowiedzeń

nieprzychylnych, nie szuka cudzych autorytetów, by na nich oprzeć swój sąd, nie feruje łatwo wyroków. Zestawia ściśle dane, posługuje się pierwszorzędami źródłami i materiałami; jego analiza i krytyka trzyma się ściśle granic rzeczowości. Jest bardzo krytyczny wobec materiałów np. emigracyjnych, gdzie chodzi o propagandę antyhitlerowską; nie waha się niektórych dokumentów uznać za falsyfikaty. i t. p.

Heiden nie bez słuszności uważał się za powołanego do napisania monografii o Hitlerze. I znowu, by nie wpadać w przesadę, trzeba powiedzieć, że trudno wyobrazić sobie, by ktoś mógł napisać lepszą. Nawiązując do uwag ogólnych, zaznaczamy, że nie chodzi nam tutaj o to, czy Hitler podoba się Heidenowi czy też nie, ani o to, czy zgadzamy się z sylwetką, narysowaną przez autora. To są de facto rzeczy obojętne. Pójdę jeszcze dalej: nie chodzi nam tutaj wogóle o Hitlera, ale o metodę pisania monografii współczesnej historii, o tę właśnie współczesną historję, o dzieje sąsiedniego państwa. Przyznaję się, że znam stosunkowo wiele prac o najnowszej historii Niemiec, że miałem możność przypatrywać się Niemcom zbliska, że istnieje poważna ilość bardzo źródłowych i ciekawych dzieł, — ale Heiden bije swoich poprzedników. Przedewszystkiem stylem: pisze jasno i zwięźle, a zarazem lekko — nie będąc przytem powierzchownym. Wciąga czytelnika w lekturę nawet gdy go prowadzi przez gąszcz cyfr i rozważań ekonomicznych, jak w niektórych ustępach *Narodzin Trzeciej Rzeszy*. W pierwszych dwóch książkach zajmował się przedewszystkiem stroną ideologiczną, dziejami ruchu, nie zaś jednostkami; odrzucał cały materiał, który odnosił się do poszczególnych postaci, o ile przekraczał obrane przez niego ramy. W monografii o Hitlerze zużytkowuje to wszystko; naświetla postać swego „bohatera” ze wszystkich stron, analizuje jego wszystkie posunięcia, jego sposób życia, ubioru, pisanie i mówienia, stosunek do ludzi, metody działalności, i t. p.

Obaj autorzy, rysując swego „bohatera”, musieli oczywiście zająć się środowiskiem, z którego wyrósł. Dla wytłumaczenia samej postaci musieli sięgnąć do psychologii. Tutaj obaj operują metodami tej samej szkoły: psychologią indywidualną Alfreda Adlera, plus psychoanalizą Freuda, przyczem metoda pierwsza przeważa u Heidena, zaś druga — u Oldena. Heiden jest ściślej i nie psychologizuje, natomiast Olden wpada w rozważania. Heiden jest historykiem, dlatego też przeważa u niego materiał faktyczny,

analizuje historję Niemiec i na jej tle kreśli postać Hitlera; w nim np. nie budzi najmniejszej wątpliwości fakt, że Hitler musiał przyjść, że Niemcy go chciały, ba! tworzyły. Jak z podtytułu jego dzieła wynika, jest to postać wyrosła na tle rozkładu Niemiec, ale rozkład ten istniał, postępował naprzód. Wódz wyrósł na tle takich a nie innych stosunków. Heiden w sposób bardzo przekonujący maluje stosunki niemieckie i dzięki temu ułatwia nam zrozumienie przeobrażeń, jakie tam nastąpiły.

Natomiast nie można tego powiedzieć o Oldenie: jego książka jest, jeśli można się tak wyrazić, na „nie”. Wobec tego, że hitleryzm jest wrogi, obcy, że go zwalczał w Niemczech — pisząc monografię o wodzu współczesnych Niemiec, nie jest nam w stanie nic więcej powiedzieć ponad to, że gwałtem doszedł do władzy, że nie dotrzymał obietnic, że jest zmienny jak kameleon, że zawdzięcza wszystko kruczkom, że jest człowiekiem słabym, ale i brutalnym, że zdołał jakąś czarną magją zaczerpować swoich rodaków, że żyje legendą, że jest wielki. bo go zwolennicy (podobnie zresztą jak i obcy) nie znają — na dowód czego cytuje wiele, wiele różnorodnych wypowiedzeń, oficjalne źródła partyjne, słowa Hitlera, i t. p. I tem wszystkim nic nam nie wytłumaczył. Jesteśmy jak tabaka w rogu, bo pytamy: jeśli tak jest w istocie, to czemuż... i t. p. Olden podziwia bez zastrzeżeń talent Hitlera jako mówcy. Zaznacza, że demagogję wniósł na piedestał świętości, że tylko przy pomocy swego wielkiego talentu oratorskiego zdołał opanować Niemcy. Dalej — przyznaje Hitlerowi wielką znajomość zasad propagandy. Tutaj znowu zgadzają się obaj autorzy i słusznie podkreślają, że reklamę Hitler potrafił wprzątnąć w rydwan polityki i spraw państwowych, odnosząc się do nich tak jak przemysłowiec przy wprowadzaniu na rynek nowego artykułu.

Obaj autorzy każą uczyć się u Hitlera znajomości zasad prowadzenia wielkiej akcji propagandowej. Bardzo wysoko cenią również jego uwagi teoretyczne o sztuce propagandowej i o jej możliwościach, zawarte w *Meln Kampf*. Olden przy tej okazji polemizuje z Hitlerem, wskazując, że ten człowiek, który przecież opiera się na wielkich masach, nienawidzi mas, pogardza niemi i t. p.; na dowód tego cytuje wyjątki ze wspomnianej książki. Dziwne jest, że Olden nie widzi, iż Hitler zdobywał masy tem, że się do nich zalecał, że się umiał do nich upodabniać, że schlebiał ich instynktom, ba! że ubierał się jak szary człowiek.

Obie książki przynoszą bardzo wiele inte-

resującego materiału o nowoczesnej historii Niemiec, dają doskonały obraz różnych kierunków w powojennej Rzeszy: poznajemy kulisy działalności różnych związków wojskowych i rolę ich mocodawców, dowództwa Reichswehry. O łączności Hitlera z Reichswehrą wszyscy wiedzą, ale pod tym względem obaj autorzy dostarczają wielu bardzo ciekawych a nieznanych szczegółów. Jest rzeczą zmienną, że choć poglądy autorów bynajmniej nie pokrywają się, a nawet, wręcz przeciwnie, dość często są w zasadniczych nawet sprawach rozbieżne, to nawet jeśli chodzi o psychiczny obraz obiektu ich badań — zgodni są zupełnie ze sobą, jeśli chodzi o jego społeczne nastawienie. A więc — stwierdzają, że Hitler nigdy nie był rewolucjonistą, że przewroty chciał robić (i robił) za zezwoleniem władz. Raz tylko, mianowicie w listopadzie 1923 r., wypadło inaczej — ale wbrew woli Hitlera, który był przekonany, że wszystko pójdzie gładko. Miał przecież swoich możliwych protektorów w policji, Reichswehrze, i na czele pochodu szedł nie tylkoalny wódz wojsk gen. Ludendorff.

Heiden i Olden ogłaszają, w związku z nieudaną rewolucją listopadową, szczegóły, które temu wypadkowi nadają inne oblicze. Obaj autorzy czerwoną nitką kreślą poprzez całą działalność Hitlera linję jego współpracy z Reichswehrą, oraz innymi możliwymi tego świata. Maksymę jego działalności upatrują zgodnie w dewizie słynnego burmistrza Wiednia, twórcy antysemickiego ruchu austriackiego i partii chrześcijańsko - społecznych, dr. Luegera. Hitler w *Mein Kampf* zamieścił o tem znamienne zdanie: „Był również skłonny posługiwać się wszystkimi istniejącymi środkami władzy, istniejące potężne urządzenia czynić dla siebie przychylnymi, by z takich starych źródeł władzy dla własnego kierunku możliwie jaknajwiększe ciągnąć korzyści“. Trzeba przyznać, że zdanie bardzo interesujące i że rzeczywiście Hitler został wierny temu swojemu wypowiedzeniu, które charakteryzowało akcję Luegera. Można by więc powiedzieć, że został wiernym uczniem taktyki politycznej burmistrza wiedeńskiego; na to pokrewieństwo wskazuje szczególnie Heiden: nie twierdzi on bynajmniej, że Hitler poszedł wiernie w ślady Luegera, ale podkreśla, że wytrwał pod urokiem jego postaci, oraz że jego działalność w dużej mierze wpłynęła na skryształowanie się kierunku myślowego późniejszego kanclerza Rzeszy. Heiden cytuje jeszcze jedno ciekawe zdanie z *Mein Kampf*, odnoszące się do Luegera: „Dlatego kładł Lueger w swej działalności politycznej największy nacisk na zdobycie tych warstw,

których byt był zagrożony...“ A więc — drobnomieszczactwo. Hitler poszedł po tę drogę.

Olden ma niejako pretensję do mas niemieckich, że rządzi nimi Hitler. Dla niego, jak już zaznaczyliśmy, tylko dzięki gwałtom i terrorowi mogła powstać Trzecia Rzesza. Inaczej — Heiden: cofając się do r. 1918, zaznacza, że w listopadzie owego roku rozegrały się dwa charakterystyczne wypadki: załamanie się pruskiego militarysty i socjalistycznego ruchu robotniczego. Mówiąc o nieudanej rewolucji, zaznacza: „Nieudanie się niemieckiej rewolucji nie było wynikiem tylko przypadkowych uchybień jej kierowników. Ci ludzie — przeważnie byli robotnicy albo urzędnicy, w znacznie mniejszej mierze intelektualści w ścisłym tego słowa znaczeniu — w istocie wykonali w swojej bezcelowości jedynie zlecenie klasy robotniczej. W zasadzie klasa ta nie była rewolucyjna, lecz „reformistyczna“. Dała ona temu wyraz w potężnym tworze, w ruchu zawodowym, którego celem było zdobycie dla klasy robotniczej lepszych warunków życia wewnątrz istniejącego systemu, nie zaś stworzenie systemu nowego“.

Są u Heidena wprost kapitalne oświecenia dziejów Niemiec; jest wiele niesłuchanie głębokich uwag o systemach politycznych, o metodach walk, masie i partiach. Niektóre znane prawdy potrafi Heiden formułować w sposób tak jasny i przekonywujący, że otrzymują nowe oblicze. Dzięki swojej metodzie pisarskiej i szerokiemu uwzględnianiu tła historycznego, monografia Heidena jest pracą o pierwszorzędnej wartości dla każdego czytelnika, interesującego się zagadnieniami politycznymi. Tłumaczy ona, jak mogły powstać tak duże przeobrażenia w Niemczech, i daje odpowiedź na pytanie, które sobie wielu ludzi stawia. „Wielkie nowoczesne partie masowe, zwłaszcza faszystowskie, odkryły starą historyczną prawdę, która długo była gdzieś zagrzebana: że ludzie bardzo często, zaś masy prawie nigdy nie służą swoim interesom, lecz swoim iluzjom. Ten fakt jest czemś większym i potężniejszym, niż głupotą czy zaślepieniem; polega on na głębokiej chęci człowieka do oddania się, do ofiary, i to odgrywa w historii nie mniejszą rolę, niż głód i miłość. Hitler nie kłamie, kiedy dumnie oświadcza, że od swoich zwolenników żądał zawsze tylko ofiar“. Jak zużywał te ofiary — nie jest naszą rzeczą osądzać; stwierdzić tylko możemy, że okazał się mistrzem w opanowywaniu mas. Zna wszystkie arkana tej sztuki i do starych metod wniósł wiele własnych, nowych pomysłów.

Na zakończenie — jeszcze jedna cytata z Heidena: „Istnieje w historii pojęcie bezwartościowej wielkości. Zostawia często głębokie ślady w ludzkości, ale nie są to bruzdy, w których wykiełkuje nasienie“. Możnaby dodać: istnieją w historii błędy, które zapładniają, fałszywe teorie, które wstrząsają współczesnymi; ale już w założeniu ich tkwi wyrok śmierci. Czy można mówić o wieczności? Przecież tylko Rzym jest wieczny!

B. H.

Światopełk Karpiński: *Mieszczkański poemat*. Warszawa, 1935, J. Przeworski. Str. 4 nl. i 44.

Drugi z kolei tom Karpińskiego, młodego poety, który w mniemaniu swem wysunął się na czoło rówieśników, jest, biorąc rzecz ryczałtowo, żalosną klęską artystyczną. Przed kilku laty, w czasie debiutu, wolno było stwierdzić możliwości i częściową realizację nieprzeciętnego talentu; dzisiaj natomiast, pomimo dojrzewania samego instrumentu pisarskiego, talentu tego upadek i ruinę. Jest to przykład odstraszący dla młodej literatury, wypadek, nad którego przyczynami warto zatrzymać się dłużej nieco, ze względu na ich symptomatyczność.

Pierwszy tom autora miał tytuł niedorzeczny i przypadkowy, co więcej, najzupełniej nietrafny w odniesieniu do zawartości książki („Ludzie wśród ludzi“); dowolność ta powtórzona została w zbioru następnym: ów „Mieszczkański poemat“ możnaby conajwyżej przypisać pewnym tendencjom persyflazowym, wywodzącym się skądinąd od Tuwima (patrz głośny wiersz „Straszni mieszczanie“ i szereg innych) oraz elementom groteski i satyry, która w gruncie rzeczy w danym wypadku jest *auto satyrą*. Wербализm rozhułany, ładnie stylizowany i manjeryczny stanowi wogóle „substancję“ tomu. I tak dwie strofy, zbiór otwierające („Dedykacja“), z których druga jest skończenie piękna, stanowią niedołężny przykład „refleksyjności“ Karpińskiego: są to truizmy, mało oryginalne, podane efektownie, uginające się od niekonsekwentnego zdobnictwa, wspierające się, jak cała ta poezja, na fałszywej z gruntu i zabójczej zasadzie, jakoby poezja polegała na zestawianiu ładnych, sztucznych i wymyślnych zdań, możliwie pozbawionych wewnętrznego pokrycia; to natomiast stanowi właśnie o kardynalnej różnicy między pseudo - poezją a poezją autentyczną. Wiadomo: fałsz, zwłaszcza na terenie sztuki, zrodzić nie zdoła prawdy; lecz niekiedy piękne *kłamstwo artystyczne* potrafi triumfować, zwłaszcza jeśli sycone

jest natchnieniem; do takich zenitowych spieć temu skłonni jesteśmy zaliczyć wiersze następujące, które stanowią dowód oczywisty, jak wybitnym nadal talentem rozporządza autor i jak — zarówno w reszcie tomu, jak w całej swej działalności „satyrycznej“ powodowanej trywialnymi względami zarobkowymi, oraz naiwną żądzą rozgłosu — nadużywa go.

Do takich utworów, które bez wahania uznałibyśmy za *świecące*, zaliczyć należy przedewszystkiem: „Dno“ (str. 10), wiersz logiczny w budowie artystycznej, wybornie eksponowany, wstrząsający w bezradnym tragiźmie, fosforyzujący dusznym i chorobliwym pięknem; jest to wprawdzie literacka nawskroś, w koncepcji mało samoistna (podobne tematy były popularne wśród francuskich poetów u schyłku wieku ubiegłego), lecz znakomicie wytrzymana ballada. Podobnie zajmującym z punktu widzenia wyłącznie artystowskiego, czyli całkowicie nieistotnego, jest wiersz zatytułowany „W kraju Somali jest miasto Massawa“; same motywy „egzotyczne“ są tanie, zużyte, co więcej, papierowe, lecz żonglowanie niemi zdoła zaimponować tym, którzy, jako konsumenci poezji, zatrzymują się na jej warstwach nawierzchnich i, zamiast wstrząsu, oczekują od niej łechtania. *Zaród prądów* jest z t u k i zabija tu nieszczerne, rozpanoszone efekciarstwo, popisowość, zręczność i nadto biegle operująca trickami, tragiczna niemal niezdolność autora do prawdomówności, nieszczerłość, słowem, wobec samego siebie, świata i zadań sztuki. Załgany snob duchowy, którym dzisiaj jest Karpiński (nie był nim wczoraj i może nie będzie jutro) z konieczności za artyzm przyjąć musi jego pozory. Podobnie aż przelewający się od talentu jest dłuższy poemacik „Gioconda“. Cóż z tego? Upřednio mieliśmy kicz, udrapowany w sposób pozornie wyrafinowany, kicz, który dbał o dystynkcję, tutaj dotarliśmy szczęśliwie do wyrazów tak anachronicznych i sponowanych słusznie, jak „turnie“. Skądinąd wiersz ten posiada partje wspaniałe, inne natomiast nieznaczające nic, puszczane, dokomponowane, by jakoś całość — na pozór — się złożyła. Co więcej, jest to utwór odrażający moralnie; a niema i nie było poezji autentycznej bez dna etycznego lub przynajmniej bez walki o to dno. Tu obok bluznierstw spotykamy mimowolny persyflaz na własną metodę poetycką. Łatwizna pomysłu współzawodniczy skutecznie z nieskazitelną wykonania w wierszu „Kupcy kradną kwiaty“: to utwór chłodny, poprawny, bez zarzutu. „Cytrynę i kulomioty“ nazwałbym z kolei wielce utalentowaną pomyłką; wiersz, pisany udoskonaloną rutyną, nowatorski jak

na polskie stosunki, anachroniczny — jak na europejskie. Jest to, przyznać trzeba bezstronnie, niepowszedni wyczyn artystyczny, wiersz, pisany z zaciśniętymi zębami, opanowanie materiału do ostatka, drgająca nerwowość, której narzucono stalową siatkę; a zatem nawet Świątko Karpińskiego stać na dyscyplinę. Za dobry również uznać należy utwór p. t. „1900”; są tam pojedyncze dziecinny, a nawet idjotyzmy (ów kalosz, który ożywa i ma straszyć alegorycznie, a nawet nie budzi uśmiechu politowania), lecz całość, zbyt długa skądinąd, gdyż sam temat nie wart jest takiego zachodu, jest składna. Delektujemy się tutaj (to jest termin stosowny właśnie dla mieszczańskich sybarytów) groteskową i zlekka niesamowitą parodią stylu epoki niedawnej, a tak zamierzchłej, podobnie jak w niektórych książkach Morand’a; lecz dodać musimy, iż zazwyczaj autor, wyzbyty stylu własnego lub do niego jeszcze niezdolny, tem bardziej miewa wyczulony zmysł stylizacji: jest to poprostu tani surogat. Oryginalny jest wiersz „19 sierpnia”, lecz błahy i nic, poza kaligrafją artystyczną, nieznaczący, b a r d z o d o b r y wiersz końcowy (tytułowy): zajmująca, rzadko spotykana budowa stroficzna (15-zgłoskowiec z cezurą dobitną po zgłosce siódmej i z męskim spadkiem w drugiej i czwartej linijce), wypukła plastyka, tak wyjątkowa u Karpińskiego, a t m o s f e r a n a w i e d z e n i a wreszcie — tworzą w rezultacie wiersz pod każdym względem nieprzeciętny, oczywista, o ile uwzględnić zastrzeżenia, wypowiedziane u wstępu, a dotyczące s a m e g o r o d z a j u.

Wreszcie istotnie za punkt szczytowy temu uznać trzeba cykl p. t. „Jesiennie sielanki”, serję jedenastu wybornie stylizowanych poematów o budowie zwartej, pięknej i przekonywującej. Tu, pomimo nadmiaru dekoracyjności, docieramy wreszcie wraz z autorem do progu poezji, do j e j m a g j i. Tu wstrząs uczuciowy i erotyczny odkłamał artystę błądzącego: oczywista, trupiość, barok, n a r k o t y c z n o ś ć, rozpusta epitetów — trwają nadal; lecz sam artyzm jest próby wysokiej. Prawdziwe, realne przeżycie sięgnęło wreszcie dna osobowości, rozbiło iluzję łączności i kłamanego patosu, poeta staje się tu niemal naturalny, a w każdym razie autentyczny. Pomimo wszystko bowiem, co było powiedziane i powiedziane będzie w następstwie, Karpiński jest autentycznym poetą.

Usiłowaliśmy uprzednio z sumiennością, na jaką było nas stać, wyłożyć aktywa tomiku; obecnie równie dokumentnie zajmujemy się jego pasywami. Na początku niemal spo-

tykamy poemacik, zatytułowany „Odkrycie”; odkrycie to polega na tem, iż jacyś, nienazwani z imienia, a zatem, jak przypuszczać należy, w s z y s c y szukają szyfru istnienia, by dotrzeć w końcu do przeświadczenia, że go... niema (zachowuję wielokropek autora). Zaznaczyć trzeba, iż podobnie myśleć mogli grecy przed Talesem i wogóle wszelkie hordy ludzkie, które nie zaczęły organizować się społecznie, ni cywilizacyjnie. K a r p i ń s k i p o p r o s t u j e s t i n f a n t y l n y, jak bardzo wielu liryków wogóle, a zwłaszcza jego rówieśnych: tem samem ogłasza za „prawdy” (choćby negatywnie) zamierzchle i barbarzyńskie doznania ludzi, których nie stać było jeszcze na kulturę, ni opanowanie chaosu wewnętrznego, ni zewnętrzne. Jest to, słowem, poemacik naiwnego agnostyka, siedemnastoletniego chłopca (autor liczy sobie lat 26), który przeżywa pierwsze „zwątpienie religijne”, polegające na odrzuceniu nauk katechizmu, lecz nie ma dość odwagi, ni sprawności umysłowej, ni moralnej, by potrudzić się i na miejsce p u s t k i podstawić cokolwiek; co więcej, pustką tą popisuje się publicznie w sposób bezwstydnym. Zatem: prymitywny agnostycyzm w alegorycznym wierszyku, pełnym łatwizny, gdzie w strofie ostatniej brak jest jednej sylaby, co wydatnie rytm zakłóca. C z z o ś ć ta demonstruje się również w wierszu następnym („Pijany, co...”); autor bardzo się nudzi, latając po redakcjach, kinach, kawiarniach, radjach i adrach (stał wspomniana w I części „Gioconda”, którą możnaby nazwać „świętą dancungu”, gdyby zestawienie takie było dopuszczalne) i wypisuje prostackie brednie, podszyte „nihilizmem” lat pokwitania; jest to niepomysłowe operowanie szablonami inteligentckiego anarchizmu, które poplaczają w pewnych stołecznych środowiskach literackich (pozał się Boże!). „Wielka fala” zabiega o klasycyzm, o pewną jednolitość formalną (część I wiersza jest dość udatna); lecz nad tem górują wkrótce „myśli bez kształtu, myśli bez nazwiska”, następuje spiętrzenie barokowe pleonazmów, jak zwykle u tego poety, manjera i niedokształt zagłaszają partje istotnie w i d z i a n e „wzrokiem wewnętrznym” (ustęp o sarnach i zającach — bardzo trafny i piękny), autor gubi się w labiryncie, który znikąd wiedzy w nigdzie. Jest to typowy tragizm epigona, rozlubowanego w sobie, w swoich „smaczkach”, który zdobyć się nie może na własną postawę duchową, tem samem artystyczną. „Gorzka miłość”, wyborne dwie pierwsze strofy, ostatnia fatalna: niewybredność rafinady. „Ballada”: niegramatyczność naiwna, użycie czasownika „spoj-

rzec" w formie zwrotnej, niemożliwej i niedopuszczalnej, poza tem: groteska, wywodząca się, zapewne mimowoli, z Tuwima, który (w tym gatunku) wywodzi się z kolei z Rimbauda, ów z drugorzędnych romantyków francuskich, a tamci wreszcie z „les grotesques” (wiek XVII); zatem: odległy rodowód rodzaju, który w „Balladzie” dotarł do apogeum, czyli do absurdalnego wynaturzenia. Karpiński, rzecz prosta, nic nie wie o tem, gdyż należy do chłopców, chełpiących się ignorancją nawet w dziedzinie literatury, która chyba winna mu być bliska. „Kwiat paproci”, wiersz zarówno naiwny jak plugawy, gdzie są wtórności obrazowe (dawny Słonimski), a przytem bluźniercze prowokacje. Można tu wyrzucić niektóre strofy lub ich kolejność figlarnie przestawić, a nikt się nie spostrzeże; zatem, czyż taki wiersz nie jest a by o s z u s t w e m? Wszystkie te uwagi dotyczą w równej mierze „Srebrnego wesela”. „Wiosna buchalterów” (niegdyś drukowana w „Pionie”), to nieudany żarcik kabaretowy, podany w sosach „serjo”: bezkrytycyzm i bylejakie zbijanie forsy, jak widać, mści się. „Fauna miasta” jest niezła, choć rekwizytowa, „Inflacja” polega na niewybrednym dowcipku i źle jest rymowana; to właściwie nie poezja, lecz kawalarstwo, niegodne poważnego tomu. „Wiersz” posiada doskonałą rytmikę (trzyakcentowy, dobitny dziewięciogłoskowiec): gubią go, jak poprzednie, rekwizyty. „Mewa” jest bardzo zła: to właściwie mało pomysłowy, na prostackich aliteracjach oparty madrygał, pisany niewiedzieć poco i dla kogo?

Cui bono? moglibyśmy spytać się wogóle, referując tom ten i szereg innych o mniej-szym skądinąd poziomie. Tu przywary, niedobory, fałszy i błędy dotarły do takiego stopnia jawności, że przemieniły się w wygodny dla krytyka preparat. Mówić wogóle, a zwłaszcza w poezji, rzeczy proste w sposób zawily, to typowy objaw nieprodukcyjności, posuchy duchowej, wyjałowienia uczuciowego; wzgardliwa, obojętna „wyniosłość” nie doła u młodych poetów ukryć barbarzyńskiej ich, żalosnej niepewności, a zbławowanie nigdy nie bywa kulturą. Płycizna zawsze pustosz. To nie brak „tematyki społecznej”, jak sądzi Karpiński (prywatnie), stanowi o jego niepopularności pośród rówieśników. Nie, to „gnuśne jego serce”, jak sam pisze z trafnością chlubnej introspekcji. Niepodobna być duranym z „arystokratyzmu duchowego”, którego w istocie się nie posiada. Młodzi, powodowani zdrowym i niezaprawianym instynktem, mają dość kawiarnianego i „wielkomięskiego” (jakżeż to jest prowincjonalne) zdechactwa i wszystkich jego objawów,

w których słusznie przeczuwają pozerstwo, podszyte bezsilnością. Pseudo - cywilizacja, czyli całkowity brak uspołecznienia, niezdawanie sobie sprawy, że pisarstwo na pewnym poziomie nie jest sprawą prywatną jednostki, lecz wielce odpowiedzialną funkcją kulturalną i społeczną, prędzej czy później, doprowadzić musi do katastrofy artystycznej choćby najbardziej utalentowane osobniki oraz do mimowiednego szkodnictwa kulturalnego. Opór przeciw takiej poezji, to objaw zdrowia etycznego i socjalnego, tyle że niedość jeszcze rozpowszechniony, ni pogiębiony. Oto powód — uff! — nadto dokładnej analizy.

Stefan Napierski

Leopold Lewin: Z poezji niemieckiej. Przekłady. Warszawa, 1936. F. Hoesick, str. 74 i nl.

Mimo że polski rynek księgarski zalewają całe rzeki marnych przekładów tandetnej makulatury beletrystycznej, to jednak przekładów naprawdę wartościowych dzieł literatur obcojęzycznych, dzieł, stanowiących godną istotniejszej uwagi pozycję artystyczną — ukazuje się u nas wciąż jeszcze mało, za mało. Szczególnie dotkliwie daje się ten brak odczuwać w zakresie wydawnictw poetyckich. A przecież przekłady te mieć winny duże znaczenie nie tylko dla głębiej idących zainteresowań czytelniczych, ale i dla samejże oryginalnej twórczości poetyckiej, dając nam możność konfrontacji własnych osiągnięć twórczych ze zdobyczami poetykiemi innych narodów. Trudno przecie jednemu pocieć znać taką masę obcych języków, by mógł sobie wyrobić należyte pojęcie o poezji całego świata, ale praca przekładowa szeregu poetów może naszą wiedzę i orientację w tej materji wzbogacić. Dlatego wzmożony ostatnio pęd do przekładów poetyckich, którym sporo miejsca poświęcają czasopisma literackie (Droga, Kamena, Okolica Poetów, Miesięcznik Literatury i Sztuki), uznać trzeba za fakt bardzo dodatni, życzyliby sobie należało tylko, by wślad za temi spolszczeniami pojedynczych utworów szły liczniejsze niż dotąd wydawnictwa książkowe, ujmujące twórczość poszczególnych poetów, czy epok, czy też narodów w obraz szerzej rozbudowany i bardziej uystematyzowany.

Z tego względu zasługuje na podkreślenie praca Leopolda Lewina, który w swym tomie przekładów z poezji niemieckiej próbuje dać nam wgląd w cały przedostatni okres tej poezji, ujęty syntetycznie i skrótowo w

osobach swych czołowych i najczystszych poetów: George'a, Hofmannsthal'a i Rilkego. Jeśli chodzi o poezję niemiecką — jest to pierwsza wogóle próba jej antologii w naszej współczesnej literaturze przekładowej. Antologia ta nie daje oczywiście pojęcia o przeciętnym stanie niemieckiej produkcji poetyckiej okresu, w którym tworzyli George, Hofmannsthal i Rilke i nie to jest jej zadaniem; przeciętna ta była znacznie niższa i czystością sztuki nie dorównywała naogół twórczości trzech niezmiernie trafnie przez Lewina wybranych autorów, którzy, będąc największymi poetami swego okresu, reprezentują w nim zarazem najmocniejszą kierunek poezji, która jest przede wszystkim poezją i odcina się dość jaskrawo od zachwyszczającej masowo poezję niemiecką mniej lub więcej banalnej filozofijki życiowej w kształtach poetyzującej mowy wiązanej. W twórczości George'a, Hofmannsthal'a, Rilkego — elementy myśli, refleksji, choćby nawet włączone w organizm wiersza, poddane są jednak wewnętrznym prawom sztuki. To zbliża ich do poezji innych narodów zachodnio - europejskich, a zarazem do tradycji średniowiecznej poezji niemieckiej i innych najwartościowszych przejawów niemieckiej poezji, jak i do całej — godnej tej nazwy — poezji wszystkich narodów i czasów.

Największym zpośród tych trzech poetów był bez wątpienia Stefan George, którego twórczość zyskuje i zyskiwać będzie pewnie z każdym rokiem coraz szerszy zasięg wpływów i znaczenia. Nam, współczesnym, czynią go szczególnie bliskim takie elementy jego sztuki, jak: czynna postawa poetycka, która go tak wybitnie odróżnia od jego ucznia Rilkego — bardzo zresztą sugestywnego poety, — od jego cierpienniczego i biernie kontemplatywnego stosunku do rzeczywistości, będącej materialem dzieła sztuki; wiążące się z tem akcentowanie woli w jego poezji; mocna konstrukcyjność jego wierszy — objaw w poezji niemieckiej zresztą bardzo rzadki; pogarda dla wszelkich smaczków ozdobności, która daje jego wierszom dużą zwartość i esencjonalność — piękno wynika tutaj z ustosunkowania wzajemnego najistotniejszych nągich członów przeżyciowych.

Już ta ostatnia cecha wierszy George'a, to, że nic w nich nie można dodać ani ująć, jeśli zważymy, że łączy się ona w nich z re-

gularną budową rytmiczną, stroficzną i rymową, powie nam conieco o trudnościach przekładu tych wierszy. A nie jest to w tym wypadku trudność jedyna. Są to wiersze chyba zupełnie nieprzetłumaczalne, nie może być mowy o takim ich przekładzie, który byłby ekwiwalentem oryginałów. Rolą tłumacza jest tutaj raczej danie czytelnikowi polskiemu pewnego przybliżonego obrazu tej poezji, a nie jej równoważnego odpowiednika. To zadanie spełniają przekłady Lewina. Widać odrazu, że spolszczeniu wierszy George'a poświęcił on w tym nie najwięcej staranności i najwięcej wysiłku. Zachował w nich niemal do ostatnich granic wierności sens znaczeniowy, obrazowość, budowę rytmiczną i rymową oryginałów. W wyniku — dał wiersze zdecydowanie piękne, przekłady o wręcz zadziwiającej brawurze, a że ulotniła się z nich pewna właściwa George'owi aura poetycka, że pozostały tylko gdzieniedzie jej ślady, na to rady niema. Wysunąłbym natomiast inną pretensję, którą kieruję zarazem pod adresem wszystkich dotychczasowych tłumaczy George'a na polski. Żaden z nich nie zachowuje własnej ortografii i interpunkcji George'a, a nie byłoby to wcale rzeczą trudną, prawidła ich są bardzo proste. Ta dowolność tłumaczy jest chyba nieusprawiedliwiona.

Nie nastroczały tylu trudności wiersze Hofmannsthal'a, choć niezatrzymanie ich wysokiego diapazonu uczuciowego wymaga od tłumacza dużej dozy wewnętrznego skupienia. Przekłady naogół bardzo dobre. Zwłaszcza nad podziw pięknie wypadła „Pieśń podróżna“, rzecz bardzo trudna do przełożenia, a uchwycona przez Lewina bardzo trafnie. Tembardziej więc razi niedbały, nieściśły i poprostu okropny przekład dialogu poetyckiego „Towarzystwo“.

Rzecz dziwna: najbardziej na tle tomu nieściśle — w znaczeniu dosłowności — przełożył Lewin Rilkego, a jednak najlepiej utrafił w ton jego poezji i w odrębne odcienie emocjonalne poszczególnych wierszy. Nawet zdarzające się rzadka własne wstawki tłumacza dobrze naogół oddają atmosferę przekładanego poety.

W sumie — książka, która cieszy i swoją wewnętrzną wartością i jako fakt w znaczeniu obiektywno - kulturalnym. Trzeba nam takich książek — jaknajwięcej.

Artur Rzeczyca

Druk numeru ukończono 1 maja 1936 r.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Chmielna 33 m. 5.

Tel. 2.75-34. Konto P. K. O. 518.

Godziny urzędowe Redakcji od 11 — 15.

Godziny urzędowe Administracji od 9 — 15.

Prenumerata: rocznie zł. 20.—, półrocznie zł. 10.—, kwartalnie zł. 5.—.

Zagraniczna kwartalna zł. 6,50.

Cena numeru pojedynczego zł. 2.—, podwójnego zł. 3.—.

Redaktor: WILAM HORZYCA

Redaktor odpowiedzialny: STANISŁAW PODWYSOCKI

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy Świat 47, tel. 635-80

